

Anira Wojan

Teranga - witaj w domu !

Duchu Święty, tchnienie Bożej miłości, Ty w każdym z nas budzisz wiarę.  
Ona nie jest niczym innym, jak tylko najprostszym zaufaniem, tak prostym,  
że dla wszystkich dostępnym.

*Modlitwa Sióstr i Braci z Taizée*

## Rozdział I

Dunka stuknęła obcasami o zmrożone kafle dworcowej posadzki, a potem zbiegła schodami w dół, na peron, z którego zaraz miał odjechać pośpieszny do Warszawy.

W ostatniej chwili zahaczyła wagon numer pięć i niemal od razu wpadła na Grażynkę.

- Ale szczerza! Jesteś! Już myślałam, że nie przyjedziesz!

- Mama mi kanapki pakowała! Mówię: „mamo, ja nie mam miejsca w torbie”, ale się uparła. No, sama popatrz, jaką mam małą torbę.

- Spoko, zdążyłaś, Dunka. Chodź, jedziemy.

Znalazły kawalek wolnego na samym końcu składu. Następną sześć godzin podróży miały spędzić w tłoku na szorstkich kanapach drugiej klasy, co nie było ceną wygórowaną za przeżycia, jakich się spodziewały potem. Jechały, by nasycić do cna, do spodu coś w rodzaju tęsknoty, jaka im buzowała we krwi. Czekał na nie pierwszy prawdziwy rejs za prawdziwe pieniądze. Za ledwie kilka miesięcy po technikum morskim.

O świcie, rzucając spojrzenie na miasto od strony „Hotelu Marriott”, który stał i czekał,

podobnie jak służbowy sort mundurów „Queen Elizabeth” czekał w kapitanacie nad Tamizą, wydały z siebie okrzyk radości. Pierwszy grudniowy mróz, pod którym zwykły człowiek kuli się i stęka, na nich nie robił wrażenia. Dunka zdmuchiwała kosmyk jasnych włosów, co opadał jej z czoła, kompletnie przesłaniając oko. Śnieg z marznącym deszczem zacinął coraz bardziej, aż w odkrytym pępku Grażynki zebrała się brylantyna.

- Teraz wierzę. Teraz, jak tu jesteśmy.

- Ty, Dunka, a jak jej tam nie ma?

- Kogo?

- No, „Queenki”, w tym Londynie! To mój sen! Moje marzenie! Nie raz sobie tak wyobrażałam, że pracujemy na „Queen Elizabeth”! A my same, jak te królowe! Ty wiesz, że załoga ma tam własne natryski?

- Spoko. Wszystko czeka.

Z centrum Warszawy sto siedemdziesiątką piątką na lotnisko, a potem powietrzonym tramwajem do Londynu na „Stansted”, a potem jeszcze z Paulusem, Holendrem, co okazał się miłym facetem, bo nie spłynął z dwa razy czterystoma euro, które wcześniej przelewem bankowym za pośrednictwem wpłaciły mu na konto, i czekał na tym lotnisku, żeby je zawieźć skrzypiącym range roverem aż do nabrzeża King George. I wszystko zgodnie z umową!

Historia, którą tu przeczytacie została napisana dzięki moim najbliższym, którzy wytrzymali stukot klawiatury o piątą nad ranem. Jestem im za to ogromnie wdzięczna. Jednak ani słowo nie wyszłooby z mojej głowy, gdyby nie wspaniali polscy podróżnicy, śp. Kinga Choszcz i śp. Wacław Korabiewicz, którzy nauczyli mnie patrzeć, słuchać i pamiętać. Tę opowieść dedykuję właśnie Wam...  
aw.

Z takim wyjątkiem, że w dalszą podróż nie miały jechać już razem. Miało się tak stać, bo luksusowa „Queenka” mogła zaokrętować tylko jedną Polkę. Wtedy Dunka bez wahania zgodziła się popłynąć u Hiszpana na trasie kanaryjskiej jako barmanka. Miała kilka banknotów i trochę jednoeuroowych monet, które dostała od matki w ostatniej chwili na drogę. Cienko, bo w domu „cienko”. Po odliczeniu kanapki z wołowiną, za którą w portowej kantynie skasowali cztery siedemdziesiąt, zostało ze trzydzieści pięć euro. Jeszcze tego samego wieczoru Dunka przekroczyła jednak La Manche, nie płacąc nawet grosza, podczas gdy Grażynka brała prysznic na „Queen Elizabeth”, płacąc czterdzieści pięć centów za minutę. Coś za coś.

- Pieniądze noś zawsze ze sobą - matka powtórzyła to z dziesięć razy przed odjazdem pociągu z Władysławowa, wciskając Dunce skórzany staromodny portfel z obrazkiem Najświętszej Paniienki Nieustającej Pomocy.  
- Zadzwoń, jak się urządzisz.

Tir z żółtym napisem „freeee” zanurzył się w fale nocy, opuszczając dok Króla Jerzego i wody Tamizy, a z nim Dunka. Kierowca wysadził ją na stacji benzynowej przy E47, na północ od Tuluzy, tysiąc dwieście kilometrów od Londynu jednym haustem szosy, najwyżej pięć godzin do Barcelony.

W tym samym czasie, pod osłoną nocy, zachodnie wybrzeże Afryki Saharyjskiej w okolicach marokańskiego As-Sawira, opuściły dwie mocno sfatygowane „pateras” i jedna nowiutka – małe łódki zamiast ryb wyładowane ludźmi – ciałami mężczyzn, kobiet i dzieci. W sumie sześćdziesięcioma dziewięcioma Fulani, Malinke i Dogon. Choć nie tylko. Ale teraz skąd miałyby to Dunka wiedzieć...? Po co miałyby o tym myśleć? Nie pytając o nic, pochłonęła bryzę światła w tunelu La Manche i zasnęła z głową wtuloną w falochron szoferki.

„Sierra del Mar” był dobrze wystuzonym plażowcem rok po roku ciągnącym z Barcelony szybkim kursem wprost na Teneryfę tysiące rozbawionych ludzi. Dunka zameldowała się w porcie o piątej po południu, a trzy kwadranse później, po dwóch nocach spędzonych w podróży, runęła w swojej koi, nie zdejmując nawet butów. Obudziła się o świcie, zostawiając daleko w tyle obrys Balearów, w tłocznej, siedmioosobowej kajucie, będącej kompozycją dezodorantów i dźwięków nie występujących razem w przyrodzie. Skład załogi był już przesądzony, przynajmniej tak się mogło wydawać, na najbliższe trzy miesiące odbijania się od brzegów Atlantyku i Morza Śródziemnego.

Azjatka, dwie Rosjanki, trzy Catala, jak mówiły o sobie grubawe „senioras cocineras” z samej Barcelony, no i ona – Dunka. Kucharki znikwały na zmianę w

kuchni przesiąkniętej zapachem ryb i oliwy. Chinka Li Winn, miała oczy jak kotwice szkunera i pracowała za barem razem z Dunką. Nie sposób było się uwolnić żadnej grubej rybie z tej zasadzki. Zbierała najwięcej napiwków i najmniej udawała, że ją to porusza. Luda i Oksana ciągnęły ku sobie wzrok. Były grube i ładne, jak dobrze wypieczone tortillas. Dunka spotykała je rzadko. Co dwanaście godzin zamieniały się w pracy, co dziesięć w trakcie snu i tak dalej.

Tego pierwszego dnia stanęła za barem na miękkich nogach. Okazało się na szczęście, że Li, z którą miała pracować, znała „Sierra del Mar” już od miesiąca. Pasażerowie, prawie sami Hiszpanie na krótkie wakacje na Teneryfę – potaćzyć, wciągnąć prochu, kogoś poznać – lubią jechać na wesoło, przekrzykując się i, bez najdrobniejszej przerwy, oblegając bary. Po dwunastu godzinach była wyszana jak kokos, w który nałała tego dnia kilkadziesiąt drinków.

Następnym razem poczuła jednak i ona, że alkohol, muzyka oraz zapachy serwowane pasażerom w barze sprawiają, że ludzie chętnie darzą się uśmiechami i drobnymi, które w ciągu kilku godzin potrafią usypać górkę nawet dziesięciu euro. Nastrój relaksu udzielał się więc obsłudze i wszystko szło doskonale, a perspektywa krótkiego odpoczynku na lądzie, po trzech dobach rejsu miała urok snu na jawie, jaki bywa udziałem wyłącznie pieszczochów losu. Zawinąć do portu pełnego palm i ludzi, jakich nie widuje się we Władysławowie, takiego właśnie jak Santa Cruz de Tenerife, gdzie należało uzupełnić zapasy paliwa i żywności, by z nowym kompletem pasażerów udać się w drogę powrotną – oto sen, który stawał się rzeczywistością.

Wydając ciężki tupot, który wyrwał Dunkę z prawdziwego, ciężkiego snu po barowym maratonie, coś stanęło jednak na przeszkodzie takiemu scenariuszowi. Tupot dobiegał wprost znad głowy, gdzie znajdował się magazyn żywności. Dokładnie drugi pokład, tuż za kabiną, w której załoga parzyła sobie kawę. Miała ochotę stłumić wyobraźnię, mocno wciskając głowę w twardy rant czegoś, czego w Polsce nikt nie nazwałby poduszką, lecz było już za późno. Ostre przytupy zmieniły się nagle w odgłosy ciężko przesuwanych i ciągniętych tobołów. Mogły być równie dobrze workami kawy, jak i welurową kanapą z pierwszej klasy. Hałas, a przede wszystkim nerwowa ekscytacja nieznanego pochodzenia nie pozwoliły zmrzyć oka nawet Chinie, dysponującej w tej kwestii kosmiczną techniką regeneracji w każdych warunkach po dwunastu godzinach aktywności. Dunka, chcąc nie chcąc, zmieniła pozycję leżącą na coś w rodzaju pozycji spadochronu, kiedy zamiast leżeć wisi się na poręczu koi. A długo nie trzeba było wisieć. Twarde, bezdźwięczne „nooooo” przecięło „Sierra del Mar” zgod-

nie z kierunkiem grawitacji, rozchodząc się po wszystkich pokładach bez wyjątku. Przyszło jej do głowy, że „nooooo” powstało w wyniku interferencji fal elektromagnetycznych i głosu wiatru północnego, boreasza, który ocean gwałtem nasyła na swoje żaglowce. Kilka chwil później wiedziała jednak, że „nooooo” pochodziło z bliska, było to „nooooo” człowieka na drugim pokładzie, gdzie odbywał się spektakl pod tytułem „boat people”.

Azjaci i Afrykańczycy, mieszkańcy Karaibów, którzy odpływacie na starych pontonach i tratwach od brzegów swoich ziem, zwanych Ojczyznami, w poszukiwaniu innych brzegów, zwanych Biurem Imigracyjnym! Wiedzeni rozpaczą jesteście bezdomnymi dziećmi reżimów i nędzy, którym trzeba współczuć i nieść pomoc. Otoczyć miłosierną opieką w imieniu całej ludzkości. Lecz co wam przyjdzie z tego?

Mieli skórę w kolorze węgla i bez wątpienia byli Afrykańczykami. Dunka nie poznała w swoim życiu wielu Murzynów. We Władysławowie widywała się ich czasami, lecz zawsze z daleka, w najlepszym razie tuż obok, na plaży, można się było otrzeć o czarną skórę polskiego Murzyna, który z powodu zimna nie zdejmował nawet butów. Murzyn! Właściwie co to za głupie słowo!

Dunka w pierwszej chwili zamarła na widok kapitana, który krzychał do nacierających pasażerów. Przez tych kilkadziesiąt godzin zamieniła z nim zaledwie kilka słów, lecz bez trudu mogła teraz poznać, że człowiek ten był mocno zestresowany. Jak sędzia bokserski skakał w polu bitwy, a napierający tłum pasażerów, który próbował przez oszklone drzwi wdrzeć się do środka, był przyczyną jego paniki.

W głównym polu rozgrywała się scena dramatyczna. Wyszarpnięte z oceanu dzieci, kobiety, mężczyźni w sile wieku i młodszy jeszcze, co mają po dwadzieścia lat, z obłędem w oczach cisnęli się pod ścianami wąskiego korytarza. Kilka osób z załogi „Sierra del Mar” próbowało opanować sytuację, rozdając koce, przesuając przy użyciu siły zdrętwiałe ze strachu ciała, zadzierając do góry czarne głowy w oczekiwaniu jakiegokolwiek znaku świadomości. Nad nimi stał kapitan i dramatycznym tonem próbował wstrzymać napór pasażerów, których podekscytowane głosy nie pozwalały zorientować się w sytuacji. Przy tym wciąż napierali nowi Czarni podprowadzani przez załogę, nawet zwaliste „cocineras” śmigły w tę i z powrotem po schodach, a wkrótce dołączyła do nich Dunka. Trzeba było podciągać na pokład wspinające się ze studni oceanu ciała i dalej puszczać je wzdłuż pokładu w kolejne ręce kogoś z załogi. Byli podawani jak wiadra wody w czasie pożaru. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niekończący się potok ludzkich ciał i jedno niemowlę

podróżujące z rąk do rąk martwe, bo tak dotarło do Dunki, która stała przy schodach z górnego pokładu na dolny.

Dziecko zawinięte w pomarańczową chustę ważyło tyle samo, co dziecko siostry Dunki, Flory, gdy je trzymała do chrztu na wiosnę. Ale tamto ważyło życiem, samo unosiło się w powietrzu, a to ważyło mniej niż dwie bezładne torebki cukru. Więc spojrzała mu w oczy i znalazła w nich pewność, że dusza dziecka opuściła ciało. Trzymała je w ręku, nie mogąc w żaden sposób oddać tego ciężaru, powierzyć go dalej. Spojrzała na Chinkę, której czubek głowy widziała w dole schodów, na maszynistę, Greka, którego znała zaledwie z widzenia, a który odbierał od niej Czarnych. I on chyba zrozumiał, co było grane, wyczytał to w jej oczach, bo krzyknął tylko:  
- Get'im outta here!

Zrozumiała, dotarło do niej, że ma się gdzieś wycofać, że to, co się stało jest jej prywatną sprawą, że nie ma nikogo, kto miałby powód interesować się dwoma torebkami cukru zawiniętymi w kawałek bawełny. Zrobiła krok do tyłu i tak stała, trzymając w wyciągniętych rękach martwe dziecko. Krzyki unosiły się jeszcze przez wiele godzin po spokojnych wodach oceanu.

To, co się wydarzyło dla załogi i pasażerów „Sierra del Mar” oznaczać miało niespodziewaną zmianę planów. Zamiast na Teneryfę, kierowali się teraz do najbliższego portu Kanarów, Gran Tarajal, gdzie mieli dokonać „przekazania” gubernatorowi wyspy Fuerteventura rozbitków z dwóch uszkodzonych pater. Trzecia, względnie nowa łódź z mocnym, szybkobieżnym silnikiem zbiegła wraz z załogą do wybrzeży Mauretanii, by wkrótce zaciągnąć nową setkę ofiar na zbutwiałe patery przeznaczone do kasacji. Ale tak kręcił się ten świat.

U wejścia do portu czekały już policyjne skutery, karetki pogotowia, dziennikarze na holowniku – cały gigantyczny cyrk czyli aparat demokracji. Czarnych traktowano w sposób określany słowem „humanitarny”, pielęgniarki uwijali się, przeprowadzając selekcję na tych, którzy wymagają pomocy medycznej i tych, którzy mogą być przesłuchiwani. Nie czyniono wyjątków – mężczyźni oddzielano od kobiet, te od dzieci. Kapitan portu przez radio prosił załogę „Sierra del Mar” o pozostanie na pokładzie. W tym czasie pasażerowie stali już na kei, udzielając wywiadów prasie. Cyrk? Nie, raczej „mondo cane”, pieski świat!

Dunka patrzyła na to wszystko przez okno, stojąc na drugim pokładzie koło pralni, gdzie umieszczono ciało dziecka i jeszcze jedno ciało człowieka, który w trakcie ewakuacji wypadł za burtę. Nie była ciekawa tego, co ma się

wydarzyć. Raczej trzymał ją tu instynkt, zainteresowanie innym ssakiem, przedstawicielem tego samego gatunku. Gdzie matka tego dziecka? Przecież nie mogło podróżować samo?! - pytania zadawały się same. Po prostu nacisnęła klamkę i weszła do pralni. Ciała leżały na ziemi. Podeszła z zamkniętymi oczyma. Gdy je otworzyła, ono patrzyło na nią jak słodka lalka, która rozplywa się w uśmiechu, by sprawić radość swojej małej matce.

- Boże! - Dunce wyrwało się nagle z ust. – Ale piękny! Pokaż, jesteś chłopczyk czy dziewczynka?

Z korytarza dochodził odgłos kroków i pokrzykiwania kapitana. Słyszała je dosłownie za plecami. Ale też palce już zdołały uporać się ze zwojami chusty. Spojrzała na chłopca – fallus miał obnażony i napuchnięty. Przez myśl przebiegło jej słowo „obrzezany”, choć nie umiałaby powiedzieć, co to znaczy. Jej uwagę przyciągnęło coś, co zwisało z szyi dziecka na skórzanym rzemieniu. Tymczasem klamka zachrzęściła za plecami. Szarpnęła rzemień. Musiała użyć siły, by go rozerwać. Gdy kapitan przekraczał próg w towarzystwie trzech innych mężczyzn, wyglądających na policjantów, Dunka stała już wyprostowana obok pojemników z brudami.

- I'm on my guard, Senior – zameldowała, zgodnie z obyczajami panującymi na statku, dodając to dźwięczne „senior”, którego jej nigdy w szkole nie uczyli.

- The officer will take care, it's over – kapitan spojrzał na nią wymownie, dając do zrozumienia, że ma się natychmiast wynosić.

Przyszło jej do głowy, że widzą się po raz ostatni.

- Tak jest, panie kapitanie, spadam – rzuciła po polsku i już się nie obejrzała, zamykając za sobą drzwi.

Dopiero na górnym pokładzie, schowana za cumami, obejrzała drewnianą tarczę o brzegach zgryzionych zębem czasu. Pokryto ją równo i gęsto rzędami wypukłych kropek, jak pismo Braille'a. Z pozoru wszystkie były takie same, jednak, gdy musnęła je palcami, wyczuła nierówności. Zrobiła to jeszcze raz. Chyba krzyż. Dwie przecinające się linie, a na około słońce, coś w rodzaju okręgu. Bezwiednie dotykała opuszkami palców tarczy, nie zastanawiając się nawet nad znaczeniem tego odkrycia, gdy w tej właśnie chwili na trapie prowadzącym z pokładu „Sierra del Mar” na portową keję rozpętała się bitwa.

Dunka stała przez dłuższą chwilę, obserwując zmagania trzech członków załogi z grupą kilkunastu młodych ludzi, wśród których większość stanowiły młode kobiety z emblematami „Pateras de la Vida”, organizacji uznanej za nielegalną nawet przez lewicowy rząd Zapatero. Tak więc ludzie na trapie usiłovali napierać na stalową bramkę, chroniącą dostępu na pokład i

wyglądało na to, że ich celem jest wepchnięcie na statek jednego człowieka, który, jak na przywódcę przystało, wyróżniał się wyglądem i zachowaniem. Przede wszystkim górował nad swymi zastępami co najmniej o wysokość głowy, a głowę miał jak szara skała, co wychylała się z jeziora Neagh w Irlandii, skąd pochodził. Nazywał się Standish O'Faolain i nosił zaszczytny tytuł „Coordinator General Mission Espana” nadany mu przez międzynarodową organizację „Medicos Sin Fronteras”, która monitorowała uciekinierów dobijających się do brzegów hiszpańskich wysp. W ciągu poprzednich sześciu miesięcy było ich dokładnie pięć tysięcy dwieście trzydziestu trzech żywych i osiemdziesięciu czterech zmarłych, wyłowionych z oceanu topielców, o zaginionych nie wspominając. Liczby te miał Standish O'Faolain w małym palcu, gdyż jako menadżer MSF osobiście był odpowiedzialny za statystyki przekazywane dalej organizacjom pozarządowym na całym świecie, przede wszystkim „Amnesty”, lecz także „Międzynarodowej Koordynacji FSMED”, zrzeszającej działaczy z Europy i Afryki. Teraz miał zamiar stwierdzić, czy na pokładzie „Sierra del Mar” znajdują się zwłoki, a jeśli tak – ustalić ich ilość i... jakość. Żywymi miał zająć się później, gdy już lokalna policja dokona przesłuchań, a przede wszystkim nakarmi ten tabun ludzi.

Początkowo zwracał się donośnym, choć pozbawionym irytacji basem do załogi, a szczególnie do Greka, który wydawał się tam najstarszy. Wymachując „fascimile” jakiegoś dokumentu, prosił po hiszpańsku, z wyraźnym obcym akcentem, o wpuszczenie na pokład. Od próśb przeszedł do pogroźek obłączenia trapu i kei, a tłum, który miał to wykonać, mruczał namiętnie i wrogo. Zwłaszcza dziewczyny. Kiedy i to nie poskutkowało, krzepki Irlandczyk zerwał z siebie koszulę i, unosząc ją nad głowami falangi, dawał znaki do natarcia.

Dunka pokonała wysokość jednego pokładu i dotarła do mostku prowadzącego na trap. W ten sposób miała całe zajście nie tylko w zasięgu wzroku, lecz także i słuchu. Kilka metrów niżej, w połowie wysokości trapu marynarze nadal blokowali napór ludzi przy pomocy stalowej barierki. Podrażniony ponurą gębą Greka, który wyrzucał z siebie od czasu do czasu chrapliwe „spierdalał” w języku Homera sprzed trzech tysięcy lat (albowiem jak Odyseusz pochodził z wyspy Itaka), Standish puścił swoją własną wiąchę w języku poety Seamus Heaney. Sens był taki: „Niech ci się nie wydaje, pastuchu, że możesz zatrzymać górski potok; górski potok będzie żył jeszcze długo potem, jak ciebie zje szara lisica. Albo wpuścisz mnie na pokład tej parszywej dyni, albo ja ciebie spuszczę na dno tego doku, razem z dynią. Chcę wiedzieć, co się dzieje na pokładzie i dowiem się tego nawet, gdybyś wypluł nań wszystkie zęby.”

Jednak zanim doszło do ekscesów, które już wisiały w powietrzu, dokładnie w tej chwili przy balustradzie pokładu drugiego pojawił się jeden z oficerów policji, których Dunka spotkała w pralni. Musiała dobrze wygiąć szyję, by go dojrzeć. Stał tuż nad jej głową.

- Declaramos, que en el barco no se quedan victimas. There are no victims on the board. There are sixty seven refugees alive – mówił dziwnym tonem, jakby wciągał nosem katar.

Powtórzył to ze trzy razy, tak, że nawet Dunka zrozumiała w końcu, o co mu chodzi.

„Jak to – nie ma...?!” - Trudno było zatrzymać się głowie, która zanim pomyślała po polsku, już wołała na całe gardło po angielsku:

- Two dead! Two dead!

Oczy wszystkich skierowały się w jej stronę.

- Ale jazda! - dosłownie zakryła twarz dłońmi i przez chwilę miała pewność, że się zapadnie pod pokład.

Nic takiego się jednak nie stało. Po kilku minutach zamieszania Standish został w końcu przepuszczony. Przez cały ten czas Dunka tkwiła przy mostku, bojąc się spotkania z kapitanem. Pomagały jej w tym uśmiechy i pokrzykiwania dochodzące z trupu, który pod naporem ciał niebezpiecznie zaczynał falować. Oklaskując odwagę, z jaką dokonała swojego wystąpienia ryzykowali, najwyraźniej nic sobie z tego nie robiąc, kąpiel w portowym doku. Czują, że i ona się uśmiecha, choć mordercze spojrzenia, jakie rzucał w jej stronę Grek, zapowiadały fatalny koniec całego zdarzenia. Czy wiedza, że w koi tego człowieka spoczywało trzysta kartonów fabrycznie ofoliowanych papierosów Rothmans wypełnionych kokainą coś by zmieniła w jej życiu? Raczej nie. Pewnych rzeczy nie należy wiedzieć do końca.

Tym lepiej dla niej, że doczekała powrotu Standisha z pralni, gdzie policja zgodziła się skonfrontować go ze zwłokami. Standish wykonał zdjęcie dorosłego topielca i dziecka, po czym, nie wdając się z nikim w dyskusję, zamierzał opuścić pokład. Zatrzymał się przy Duncie. Musiał spojrzeć w dół, żeby zaczepić ją wzrokiem. Była od niego niższa niemal o połowę.

- Dziękuję za pomoc. Jak się nazywasz?

- Jestem Dunka, barmanka, tu, ze „Sierry”.

- Widziałas, jak to się odbywało?

Skinęła głową.

- A ty widziałeś dziecko?

Skinął głową.

- Niedługo pozwolą wam zejść na ląd. Może zjesz z nami? Będziemy w „Tres Moscas” na calle Machado. Przyjdź koniecznie.

- Gdzie? - nie dostyszała.

Kwadrans później była już na lądzie. Jednak inaczej, niż pozostali członkowie załogi „Sierra del Mar”, „cocineras”, Rosjanki, Li – ona trzymała w ręku torbę i wyglądało na to, że ich drogi rozeszły się na dobre. Zanim opuściła pokład, usłyszała zza zamkniętych drzwi mało serdeczne pozdrowienia od kapitana. Złamała morskie prawo posłuszeństwa i musiała odejść. Morze to zakon, tak ją uczono w szkole. Nie czuła się winna, nie miała też żalu do niego. Kapitan „zachował się”, jak to mówią w Polsce. Dostała odprawę uczciwie – dwieście sześćdziesiąt pięć euro, nie licząc centów. W pośpiechu wcisnęła zwitek banknotów do tylnej kieszeni dżinsów i czym prędzej zeszła na ląd.

## Rozdział II

Właśnie minęło południe i miasto wydawało się zapadać w sjęście, która spowalnia krew i ścina z nóg człowieka. Upał bywa trudny do zniesienia. W uliczkach pokrytych spalonym prochem, który był tkanką tej ziemi, nie widać było żywego ducha. Znikąd nie dochodził najmniejszy odruch życia, choćby spojrzenie, po którym można by spodziewać się człowieka lub zwierzęcia. Widok nędznego psa wydał się jej elementem kosmicznej scenerii z „Planety Małp”, filmu, który kiedyś widziała.

Niespodziewanie po przeciwnej stronie placu, na który doszła po kilku minutach niewygodnego marszu w szpilkach, stał kolorowy stragan obwieszony pękami owoców, zielonych bananów, złocistych mango, purpurowych pomarańczy. Najpierw usłyszała, potem dopiero zobaczyła niewielkiego człowieka o twarzy pokrytej ospowatymi wzorami jak skorupa żółwia i nieokreślonym wieku między „naście” a „dziesiąt”. Tym zapierającym dech w piersiach okazem był Ferrozo. Odpoczywał rozciągnięty pod straganem swojej przyjaciółki, Jacinty. Ferrozo – z ojca i dziada król kanaryjskich złodziei.

- Que tal, seniorita? - ręka Dunki zatrzymała się w pół drogi do pomarańczy.

- ...How much an orange? - wykrztusiła, nie wiedząc, czy spotkanie w tych okolicznościach człowieka-żółwia powinno ją martwić, czy cieszyć.

- Que quiere? Un kilo, dos?

Poważniejsza myśl zaprzętała teraz jej głowę – jaki miał być cel tej wycieczki? Czy nie należało natychmiast wrócić do portu i od razu rozglądać się za miejscem na statku płynącym z powrotem do Europy?

- Do you know a pub, a restaurant ... „Tres Manchas”...? No, „Tres...”? - zaczynała mieć pewność, że nie zna ani nazwy baru, ani ulicy. Powrót do portu wydawał się oczywisty.

- ...tresmonjas, si, si, en la callesantana, no lejodeaqui, seva aladerecha, por elbarriode marruecos, sedirige tododerecho, tododerecho, a lacosta, yenlafrontera delas canarias daala izqueirda – wyrzucił z siebie jednym tchem tak, że gdy skończył, Dunka otworzyła aż usta ze zdziwienia. W przypiytywie dobrego humoru, z nudów, a może chciał ją po prostu okraść, chwycił za pasek torby, którą miała na ramieniu i bez wysiłku pociągnął.

W ten sposób dała się uwieść pierwszemu napotkanemu człowiekowi, który okazał się szybkim i bystrym żółwiem. Ferrozo należał do stworzeń o tak wybitnej inteligencji, że natura musiała chyba dla niepoznaki obdarzyć go odpychającym pancerzem fizjonomii. Zanim dotarli do tawerny o mylącej

nazwie „Trzy Mniszki”, bo o jakie mogło chodzić mniszki, skoro nikt tam nie rezydował, Ferrozo zdołał wyciągnąć z Dunki nie tylko portfel, lecz także o wiele więcej. Że została wyrzucona ze „Sierry” przez kapitana i że w porcie można było znaleźć włóczących się pasażerów i załogę statku, który czekał na pozwolenie wyjścia z portu od gubernatora wyspy, co było uzasadnione okolicznościami, oczywiście. Także i to, że kapitan nie zszedł na ląd. A ponieważ to umysł jest najszybszym organem żółwia, Ferrozo od razu wiedział, że kapitan czeka na kuriera, który doręczy mu dziesięć tysięcy. Taka stawka. Niewiele, zważywszy na cenę, jaką muszą płacić uciekinierzy za przemyt, nawet cztery tysiące euro od głowy. Za niemowlaka też. I z tego dziesięć procent dla kapitana za przejście na wysokości trzydziestego równoleżnika upchanych do granic wyporności pater, pękających wzdłuż i w szerz od naporu ludzi.

Ferrozo mało się tym wszystkim interesował. Czarny biznes mafii urąga szlachetnie urodzonemu złodziejowi. Co innego pasażerowie rozwaleni z pełnymi portfelami w tawernie! Szczegół nie do pogardzenia w tak nudny dzień na Fuerteventura. Ferrozo porzucił Dunkę u wylotu calle, pokazując paluszkami miejsce, które z oddali wabiło pięknem starych kolonialnych czasów. Z bliska w kompletnej ruinie.

„Tres Monjas” nie było zatem miejscem, które Dunka chciała znaleźć na swej drodze. Gdy stanęła w drzwiach nawet kot, który naprawdę tam był, nie podniósł wzroku. Przy takim upale tylko ktoś naprawdę zdesperowany mógł tu szukać szklanki wody. Tu, w starym portowym spichlerzu na końcu świata, udającym tawernę. Nie widząc barmana, sama wypijała wodę z oszronionej butelki z napisem „aqua minerale”, którą znalazła pośród całego arsenału butelek z napisem „cerveza” w odrapanej lodówce koło baru. Zostawiła jedną z cennych monet na blacie i opuściła miejsce, o jakim nie ucza w szkole morskiej.

- Patrz. Słuchaj. Pamiętaj.

I chyba naprawdę musiała usłyszeć ten głos, bo przecież wyszła z „Trzech Mniszek” całkiem odmieniona.

Przed wszystkim przypomniało jej się „callemachado”. Mogła to z łatwością sprawdzić,

odkąd oczy i uszy miała szeroko otwarte. A w konsekwencji także nowe projekcje zmysłów, które sprawiały, że wokół niej zaczęły pojawiać się ludzie i inne istoty żywe, do tej pory niezauważane. Starcy wsparci o laski, wygrzewający się w półmroku bram, dzieci skrywające się za żaluzjami i kozy wygładające z wielu dziedzińców. W końcu grupa kobiet przemierzająca w milczeniu podcienia rynku, na który bezbłędnie trafiła śladami Ferrozo.

- Calle Machado? - chciała zagadnąć pierwszą napotkaną dziewczynę w swoim wieku.

- Vayate la segunda a la derecha - mogłaby usłyszeć w odpowiedzi, lecz nie było nikogo takiego.

Tabliczka z nazwą ulicy wyskoczyła nagle zza najbliższego rogu.

- M a c h a d o – przeliterowała na głos. - To chyba to?

Bar „Tres Moscas” był zwyczajnym miejscem, gdzie człowiek łąpie się w pułapkę czasu. Można tu przesiedzieć cały dzień, ocierając się o innych ludzi w drodze do starych hal targowych, gdzie urządzone luksusowe sklepy. „Trzy Przynęty” - taras z parasolami, które dają cień, długie tawerniane stoły zastawione mariscos i nad tym wszystkim górująca głowa.

„Są...” – przebiegło jej przez myśl, ale nie potrzebowała żadnego potwierdzenia ponad to jedno, że głowa natychmiast zauważyła ją stojącą jeszcze w oddali, na ulicy, a w ślad za głową – ręką, która zaczęła przyjacielsko machać.

Kilka siedzących przy stoliku osób rzuciło się na Dunkę z entuzjazmem, wyciągały się dłonie i wszystko wydawało się nadzwyczajnie przyjemne, a najbardziej ucztą. Owoce ziemi, których smak znała i owoce morza, których nazw nie umiałaby wymienić. Przypomniał się jej znany z dzieciństwa wierszyk - „dobre są każde zęby, które prowadzą do gęby” i zjadła małże o konsystencji surowego białka, przegryzając twardymi obręczami ośmiornic. Pierwszy raz w życiu, aż głupio się przyznać. Dochodziła trzecia. Słońce paliło jak ogień.

- I co? Wyrzucili cię? - już wiedziała, że się nazywa Standish. - Nie martw się o nocleg, jesteś naszym gościem.

Standish miał na myśli nocleg w rewelacyjnym miejscu, blisko plaży, w starej rezydencji gubernatora.

- Uhu – przetykała gumowego kalmara. - Ale miał rację. Powinno siedzieć cicho.

Standish aż podskoczył.

- Żartujesz!? To palant, który czerpie zyski z ludzkiej niedoli. Mam go na oku od kilku miesięcy. Czy wyobrażasz sobie, że ta jego balia już po raz trzeci wyłowila ludzi na tej trasie? Strange, isn't it?

Rzeczywiście, musiało się to wydawać „strange”, lecz tymczasem myślała tylko o tym, żeby przytomnie ciągnąć rozmowę po angielsku. O dziwo, dobrze dawała sobie radę.

- Skąd o tym wiesz? Kim wy tu wszyscy jesteście?

Po godzinie wiedziała, że nie wróci tego dnia do portu. Zbyt było to wszystko

wkręcające – te opowieści o Fulani, Dogon, Luba na małych łódkach, o kobietach Ashanti wyławianych i odsyłanych z powrotem do Ghany, gdzie pozostaje im tylko śmierć z upokorzenia lub z nędzy, o dzieciach Danakil, które z rzadka przeżywają pieszą przeprawę z Etiopii na Wschodnie Wybrzeże. A potem zawsze tak samo, pod osłoną nocy wysyłani w czeluść wielkiej wody, której nie znają, nie rozumieją, która jest dla nich jak topiel. Gdy minie dzień, jeśli Atlantyk pozwoli, dobiją do brzegów którejs z hiszpańskich wysp. Lecz jeśli nie pozwoli, będą jak ryby w sieci wić się w otchłani, tonąc, w najlepszym razie wyłowieni przez któryś z licznych na tych wodach statków przeżyją upokorzenie transportu w asyście Guardia Civil do któregoś z marokańskich portów. A tam wprost w ramiona Gendarmeria Real Marroqui. Więzienie za nielegalne przekroczenie granicy od dwóch do pięciu lat!

Zrobiło się pusto przy stoliku. A Standish O'Faolain mówił dalej.

- Plus oczywiście kara finansowa, dokładnie sześć tysięcy dwieście euro. To absurd. Tyle nie jest tam wartość ludzkie życie. Wyobraź sobie więzienie dla czarnych uciekinierów w Agadir, gdzie najczęściej trafiają. Jeśli rodzina nie przyjdzie po nich w ciągu trzech miesięcy, nie mają prawa przeżyć. To po prostu nie jest możliwe w tych warunkach. Więc się składają całe klany. Sprzedają krowy i kozy, jeśli je mają, sprzedają własne dzieci, by złożyć daninę mafii, która mnoży zyski, upychając coraz to więcej ludzi na śmiertelnie niebezpiecznych wrakach, a potem w morderczych celach wykutych w skałę. Hej! Co z tobą?

Nic. Zemdląta. Z upału. A otworzyła oczy dopiero, gdy poczuła w kącikach warg szary piach. I tam, na plaży, u stóp „Residencia del Gobernador”, której świetność dawno minioną nabierała teraz blasku od świec i naftowych latarni, powoli dochodziła do siebie, zanurzona w dźwięki i zapachy. Ktoś grał na bongosach, ktoś palił dżointa. Standish siedział przy laptopie i pracował. Nawet nie podniósł głowy, gdy znalazła go w środku nocy:

- Mam potwierdzenie, że cała ta grupa, którą wyłowiliście na „Sierra del Mar” jutro w południe wyrusza z eskortą do Agadir. To kilkanaście godzin drogi. Wracamy na ocean. Jedź ze mną, pomożesz mi zrobić raport. Trzeba spisać wszystkie dane osobowe tych ludzi. To kupa roboty. Sam nie dam rady, a moja asystentka, wiesz, dziewczyna, z którą zawsze pracuję, pojechała na wakacje do Australii, do rodziny. Do południa zdążymy jeszcze wbić ci do paszportu marokańską wizę.

- Mam mało pieniędzy. Muszę szybko znaleźć jakąś robotę, bo będzie po mnie.

- Nawet o tym nie myśl. Wrócimy za trzy dni, to sam ci pomogę. Znam kapitana takiego jachtu, że za jeden dobry rejs, będziesz żyła przez pół roku. Był tylko pewien szkopuł. W torbie nie znalazła portfela z paszportem.

Nadeszła ciężka i przygnębiająco piękna noc, którą spędziła na hamaku, nie mogąc opanować łez. Więc straciła nie tylko wspaniałe zapowiadającą się marokańską przygodę, nie tylko pracę na prywatnym jachcie, ale jakąkolwiek szansę opuszczenia Fuerteventura. Będzie sobie tu tak siedzieć, aż umrze z głodu... Standish też spuścił z tonu, gdy mu powiedziała o paszporcie... Była sama na hiszpańskiej wyspie. Mama się ucieszy...

Tymczasem zupełnie inaczej myślał o tym wszystkim Ferrozo, który wrócił do swojej „residencia”, gdzie mieszkał z matką i trzema siostrami, z których tylko jedna była, tak jak on – karlicą. Dobrze już po północy zabrał się za przegląd portfeli, które tego dnia udało mu się złowić w trzech portowych barach. Karty kredytowe odkładał na jeden stos, na drugi zdjęcia, na inny bilety wizytowe i adresy. Gotówki było więcej niż zwykle, czterysta pięćdziesiąt osiem euro i jakieś drobne. Robił to wszystko bez szczególnych emocji i tylko jeden portfel wywołał na jego twarzy grymas podobny do zdziwienia. Ten, w którym znalazł oprócz paszportu obrazek Madonny wciśnięty za plastikową szybką okienka, gdzie zwykle znajdował fotografie co najwyżej zwykłych kobiet. Przeżegnał się i wsunął nietknięty portfel do kieszeni spodni. Nie musiał patrzeć na zdjęcie w paszporcie, by wiedzieć, że dziewczyna, którą spotkał tego dnia na Plaza Mayor, ma jasne włosy i niebieskie oczy. I zero pieniędzy, nie wspominając o kartach kredytowych.

Było już dobrze po północy, gdy Ferrozo wyruszył w miasto, s w o j e miasto. Odwiedził kilka barów, kilka melin, kilka mieszkań na przyportowym blokowisku dla sezonowych dilerów i wiecznych emigrantów. Po dwóch godzinach wiedział, że właścicielka portfela zaczęła się u tych nawiedzonych wariatów, tak zwanych wolontariuszy, którzy zasiedlili opuszczoną willę zwaną domem gubernatora, mimo że nigdy żaden gubernator tam nie mieszkał, tylko czarne niewolnice z jego dworu, które przywożono statkami z czarnego wybrzeża jeszcze w latach osiemdziesiątych. Ustaliwszy miejsce pobytu właścicielki portfela, postanowił wrócić do własnego łóżka w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Resztę odłożył na potem.

Świt w „Residencia del Gobernador”, na werandzie zastanej puszkami po piwie, petami, resztkami mariscos i tortillas, z wolna wypełniał się językami wieży babel. Słowa angielskie, portugalskie i hiszpańskie, przeplatały się twardą mową Niemców i Szwedów. W końcu to głos Standisha podniósł ją z hamaka i przywrócił do rzeczywistości.

- Mam dla ciebie paszport. Jesteście z Anną bardzo podobne. Popatrz. Paszport na nazwisko Ana Maria Gutierrez y Azar. Blond włosy, niebieskie oczy. „Zupełnie inny nos”, pomyślała Dunka.

Zdążyła tylko napić się kawy i już nie pytała o nic. Wsiedli w starego pick-upa landcrusiera i pognali do portu. Na widok solidnego stalowego potwora odetchnęła z ulgą. To było coś, co znała. Tego nie musiała się bać.

Odbili od portowego nabrzeża dobre dwie godziny później. Patrzyła na oddalający się łód bez szczególnego wzruszenia. Chłodny ocean wydawał się o wiele bliższy sercu niż wyspa, której nie zdążyła ani poznać, ani polubić. Chłód bijący od Standisha natomiast sprawił, że zrezygnowała z wszelkich gestów sympatii, nawet z uśmiechu. Jednak, gdy tylko zniknął bez słowa pod pokładem, poszła go zaraz odnaleźć. Mimo wszystko czuła się lepiej w towarzystwie milczącego Irlandczyka niż jako Ana Maria Gutierrez y Azar, nie mówiąca słowa po hiszpańsku całkiem samotna blondynka.

Statek, którym płynęli do Afryki doskonale wyrażał ten stan przejścia cywilizacyjnego, jakiego mieli tu dokonać – był zarazem nowoczesny i kompletnie przestarzały. Czuć było potężny silnik, który pruć wodę jak ostry nóż, bez wahania. A jednocześnie surowy, goły pokład nieosłonięty przed ostrym słońcem teraz, a w innych okolicznościach, które z pewnością statek ten pamiętał, przed nawałnicą spiętrzonej wody, przywodził na myśl konstrukcje wojskowe sprzed pięćdziesięciu lat.

Znalazła Standisha od razu, w długiej kantynie. Małe bulaje dawały tylko tyle światła, by wyciąć jego białą twarz z tła kilkudziesięciu czarnych. Żywiotowo gestykułował i w końcu zorientowała się, że, za pomocą rąk, prowadzi coś w rodzaju konwersacji. Bała się podejść, nie tylko z powodu Standisha, któremu nie chciała przeszkadzać. Także nie dlatego, że pod ścianami stało co najmniej dziesięciu hiszpańskich strażników z krótkimi karabinami i w kaskach. Przeraziły ją twarze ludzi, którzy zewsząd na nią spoglądali. Były to czarne twarze, pozbawione zrozumiałego wyrazu, ukrywające sobie tylko znane myśli i emocje. Wzrok musiał się dopiero oswoić z tym widokiem, by poznać obrysy chust, koców, ciał – wszystko zmieszane w barwie czerwonej gliny i rzecznej mułu. Było to, mimo grozy, piękne i tchnęło w duszę Dunki pragnienie tego nieznanego świata. Szybko wróciła z powrotem na pokład, przeskakując po dwa stopnie schodków.

Standish wrócił też w ciągu pół godziny z dwoma kubkami kawy.

- Boisz się?

- Nie... Tak.

- Nie przejmuj się za bardzo. Oni trochę inaczej wyglądają niż my, ale są tacy sami jak my. Chcą dokładnie tego samego. Chcą dobrego jedzenia, ubrań, internetu. Chcą opieki medycznej, sportu.

Dunka czuła, że Standish dobierał słowa, używał prostych konstrukcji, jakby chciał dostać się do jej głowy.

- My nie znamy tak dobrze ich języków, są ich setki, oni trochę znają nasz... i tak sobie rozmawiamy. To nic wielkiego. Wymieniamy poglądy.

- A co będzie z nimi dalej? - spytała, sama nie wiedząc, o co.

- Dalej...? - Zmrużył czoło. - Już ci mówiłem – zawiozą ich do więzienia. Naszym celem jest ustalić ich dane, imiona, miejsca, skąd pochodzą. W ciągu najbliższych godzin muszę porozmawiać z każdym z nich. A ty mi w tym pomożesz.

Miał jasny wzrok. Było w nim coś świętego i coś, czego się zawstydziała. Bardzo się jej podobał.

- Ok – podała dłoń od razu tak, jak trzeba, mocno.

Pierwszy człowiek, z którym rozmawiali, nazywał się Pious Oleche. Był dośc dobrze nastawiony – wszyscy wiedzieli, że Standish i ona, Dunka, są tu dla niesienia pomocy. To było jasne, nowy standard dyplomatyczny w relacjach z czarnym lądem. „Wywozimy was z powrotem, tam was wsadzą do więzienia, ale udzielimy wam pomocy humanitarnej. Zrobią to nasi wolontariusze – wariaci, którzy nie chcą ścigać się dla pieniędzy i wolą was karmić i leczyć z potrzeby serca.” Uff.

Zapisała w notesie, który wręczył jej Standish:

„Pious Olehe – Senegal – Mamoya”. Potem „Babulola Deboye – Senegal – Kaolak”, „Dawid Diop – Ivory Coastj – Gagnoa”, „Yetunde Esan – Ghana – Gorogoro”. Tych ludzi Dunka zapamiętała wtedy na zawsze.

Nie z każdym łatwo było rozmawiać. Czasami trzeba było czegoś więcej niż:

- Your name? Tell mi your n a m e. Where are you f r o m?

Niektórzy mówili trochę po angielsku, inni odpowiadali dopiero, gdy Standish przechodził na francuski. Ci, których rozumiała najmniej, chcieli najwięcej powiedzieć. Słowa w narzeczu ful przeplatały się ze słowami hausa, a wszystkie one mieszały się w jej głowie ze słowami, które słyszała od dziecka – „ma-ma”, „dom”, „ja”.

Zaczynała się rozkręcać. Nagle odeszło ją całe zmęczenie, cała paranoja nazbieranego od wczoraj zamętu. Czuła się postawiona we właściwym miejscu i czasie. Czuła się potrzebna.

### Rozdział III

Podniosła głowę i zobaczyła Serafinę Nialod. Ich spojrzenia spotkały się nie na jeden moment, nie na dwa, ale na długą chwilę.

- What is your name?

- ...

- Your n a m e?

- Serafina Nialod.

- Where are you from? Are You from Ghana?

- ...

- Serafina, Serfina – Uganda? Yes or no?

- ...

- Senegal?

- ... Wau... Wau...

Dokładnie w tej chwili w kantynie pojawiły się dwie pielęgniarki z wózkami pełnymi „soda de nutricion”.

Standish skinął głową i dał znak, żeby się wycofać. Na rufie zastali kilku mężczyzn z cywilnej eskorty prowadzących żywą dyskusję po hiszpańsku. Pojawiło się też coś w rodzaju polowego namiotu bez ścian, stół i plastikowe krzesła.

- Zjedz kanapkę.

- Nie, dzięki.

- Why?

- Nie jestem głodna... Tam, na dole, jest kilkadziesiąt osób, które za kilka godzin mają znaleźć się w więzieniu, łąduje się w nich jakiś jogurt, a my tu mamy wakacje?

Roześmiał się.

- Chcesz „nutricion drink”? Tak? Spodobało ci się? Zaraz ci przyniosę.

I naprawdę poszedł na dół. Po chwili wrócił z trzema plastikowymi butelkami „cacao”, „vanilla” i „naranja”.

- Masz, weź, wypij. Tym się ich karmi. To całkiem dobre – komplet witamin i minerałów, żelazo, magnez, wapń. Podajemy to chorem.

Trudno się czasami wycofać. Wybrała wanilię. Pierwszy tyk był czymś odpychającym. Wtedy zaczął się śmiać, aż ludzie obok spojrzeli ze zdziwieniem w ich stronę.

- Za godzinę dostaną potężny obiad – ryby, warzywa, dużo mięsa, dużo suchej żywności, którą będą mogli wziąć na drogę. A nas karmią ohydnyimi kanapkami z portowego cateringu.

Trudno było wyrazić po angielsku to, co czuła, a jedno jedyne słowo, jakie przychodziło jej do głowy - „sorry” - brzmiało jakoś nie tak bardzo przekonująco, by je wypowiedzieć na głos.

- To co – tuńczyk czy wołowina?
- Wszystko jedno. Umieram z głodu.

Minęła połowa drogi, a szum silnika, czy też sam spieniony kilwater, spowodował, że Standish nie mógł powstrzymać opadających powiek. Postanowiła przespacerować się w poszukiwaniu czegoś w rodzaju toalety. Jedyna droga prowadziła na dół, przez kantinę, w której siedzieli czarni ludzie. Tym razem szybko oswoiła wzrok z widokiem postaci przy długich stołach. Przede wszystkim mężczyźni, choć także kobiety i dzieci, w wymownym milczeniu, a może tylko czekając na obiad. Jedzenia jeszcze nie było. Wzrok Dunki powędrował do miejsca, gdzie powinna siedzieć Serafina, ale jej też nie było. Jeszcze raz. Nie ma.

Skręciła w jedyny korytarz prowadzący w głąb pokładu. Minęła kuchnię, gdzie otwierano właśnie kotły z jedzeniem i unosił się zapach duszonych warzyw. Kolejne drzwi pchnęła, mimo że nie były w żaden sposób oznaczone. Faktycznie – stalowe pisuary i natryski, tak jak się domyślała. Minęła wejście do części oficerskiej statku, skąd prowadziła zapewne droga na mostek. Był to rewir niedostępny dla zwykłych śmiertelników.

Korytarz kończył się podwójnymi drzwiami maszynowni. Mogła już tylko wrócić na pokład. Schody wychodziły wprost na rufę, gdzie Standish właśnie podkurczał nogi w geście człowieka, który budzi się z drzemki jak małe bobo. Dosyć to śmiesznie wyglądało w wykonaniu tak wielkiego faceta. Jednak nie poszła do niego. Od razu skręciła w stronę dziobową statku, gdzie nie należało spodziewać się niczego poza górującą nad pokładem budką sterową zwaną mostkiem. Mogła być może ją obejść, by mieć ogląd całego dziobu. W każdym razie postanowiła spróbować. Wiedziała, że Standish i wszyscy inni widzą doskonale, jak przemierza pokład w kierunku, który w ogóle nie powinien jej interesować. Czują na sobie ich zdziwione spojrzenia.

Wydawało się, że słyszy głos Standisha - „Duuuunkaaaa” i przyśpieszyła krok. Coś, czego nie umiałyby wytłumaczyć, kazało jej dobrnąć do końca pokładu i skręcić za mostkiem na dziób, dokładnie w chwili, gdy ciało zniknęło za stalową burtą.

- Standish!!! Help!!! - krzyknęła, jak mogła najgłośniejsz, lecz gdy na niego wyjrzała zza mostku, on tylko odpowiedział uśmiechem, machając.

- Man overboard! („człowiek za burtą”). Man overboard!

Musiła dziwnie wyglądać, rzucając się do stalowych relingów, bo Standish, od którego dzieliło ją jakieś trzydzieści metrów, pojawił się w ułamku sekundy, a za nim cała reszta. Widzieli pas tkaniny, który bużował w haustach piany odrzucanych od burty, w miarę jak dziób statku przecinał tafłę oceanu.

Poruszali się z szybkością co najmniej dwudziestu węzłów i ciało szybko przetaczało się do tyłu, nie mogąc ostatecznie zatonać.

Złapali ją w sieć już przy rufie. Kilkanaście sekund później byłby problem. Wszystko to stało się poza świadomością Dunki, zbyt szybko, by się połapać. W gruncie rzeczy nie wiedziała, co robić, działała automatycznie. Jednak Standish umiał się doskonale znaleźć. Silnymi uderzeniami w klatkę piersiową wycisnął z Serafiny wiadro wody i ze spokojem wrócił na główny pokład.

- Standish... Ona nie może iść do więzienia. Nie pozwól im tego zrobić!

Miał chyba jakieś przemyślenia, bo chwilę później podszedł do mężczyzny, który był lekarzem tej jednostki. Rozmawiali prawie kwadrans. Wrócił zadowolony.

- Wezmą ją do szpitala. Być może uda się ją przewieźć do Marakeszu. To by nam dało trochę czasu. Skąd ona jest? Pamiętasz? Gdzie masz notes?

- Serafina Nialod z jakiegoś „Wau” – Dunka zapamiętała te dźwięki. Nie zdążyła ich zapisać w notesie.

- „Wau”...? Zaraz sprawdzę. Wyciągną z kieszeni gps.

- O, cholera!!!

- Co się stało?

- Wau! To w południowym Sudanie.

- I co z tego?

- Nie słyszałaś, co się tam dzieje?!

Dochodziła ósma wieczorem, na spokojnych wodach Atlantyku pojawiła się zmarszczka nocy szybko zapadającej nad tą częścią świata. Zrobiło się chłodno i choć słońce jeszcze wisało nad linią wody, zwinęli się pod pokład, do kuchni, pełniącej teraz funkcję biura MSF.

- Chodź, odpalę laptopa i wpiszesz te dane. Znasz się na tym?

- Jak mi pokażesz... - kiwnęła głową bez pewności, że mają na myśli dokładnie to samo.

- Musisz szybko pisać, bo mam słabą baterię.

Sześćdziesiąt siedem wpisów zajęło jej kolejną godzinę i skończyła już dobrze po zmroku, gdy przez niewielkie okienko nie widać było nic prócz czarnej wody. Standish pojawiał się co pewien czas, zaglądał jej przez ramię i znikał. W końcu wrócił, gdy już bateria odmawiała dalszej pracy.

- Skończyłaś? Dobrze się czujesz? Chcesz kawy?

- Tak, tak, tak – pokiwała głową z nadzieją, że nie musi się już wysilać w konwersacji. Wszystko to zaczynało ją przerastać.

- Kobiety mówią, że trzeba było pozwolić jej umrzeć... - powiedział nagle,

zawieszając głos.

- Ona jest bardzo nieszczęśliwa, sam widzisz. Obiecuj, Standish, że ją uratujecie...

- Kobiety mówią, że straciła dziecko, że jej syn utonął... - mówiąc to, patrzył Duncę w oczy, jakby na ten moment nie chciał wypuścić jej z uścisku, którym trzymał przy życiu i ją, i tamtych dwoje, matkę i syna.

- Dziecko? To było jej dziecko? Jej syn?

- Na to wygląda.

Jęknęła po polsku, czy to ze zgrozy, czy też przypomniała sobie, że na dnie torby ma coś, co chciałyby mu teraz pokazać.

- Gdzie jest moja torba?

- A o co chodzi?

- Muszę stamtąd coś wziąć.

- Ok. Chodź, idziemy.

Znaleźli się pod drzwiami, które już raz tego dnia oglądała. Standish nacisnął dzwonek i po chwili stał zasyczała, ukazując młodego mężczyznę w jasnym mundurze floty.

- Czy możemy teraz dostać się do naszych bagaży?

Młody oficer skinął głową i mruknął:

- Solo una persona.

- Co on mówi? - Dunka nie była pewna, choć hiszpański wydawał się jej już trochę znajomy.

- Idziesz - Standish pchnął ją przez drzwi do wąskiego korytarza oświetlonego jarzeniówkami, jakie montuje się na łodziach wojskowych.

Oficer rozsunął kraty czegoś w rodzaju boksu. Od razu zobaczyła bagaż Standisha i swoją torbę, ale nie to przykuło jej uwagę. Kilkanaście skrzyń, które stały wzdłuż korytarza, wyglądało jak scenografia filmowa z gangsterskiej sagi „Al Capone”. Była pewna, że jest w nich broń. Sama zdziwiła się, skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł. Nigdy dotąd o tym nie myślała. Wzięła torbę i, nie podnosząc wzroku na oficera, który sam nie spuszczał z niej oczu, wycofała się do wyjścia.

- Standish, oni tam mają dużo broni.

- Tsss – ołożył palec na ustach – to normalne, to wojsko. Nie myśl o tym. Chodź, zobaczymy, co się dzieje na wodzie.

Przez chwilę wypatrywali jakichkolwiek znaków na rozkołysanym oceanie. Nikt ani nic nie zakłócało równej pracy maszyn.

- Kiedy powinniśmy doплыnąć?

- Za jakieś pięć godzin. Wejście do portu odbywa się zawsze nocą. Wtedy łatwiej ukryć ładunek. Widziałas, co tu się dzieje. Ten statek to pomnik poli-

tycznej poprawności. Oficjalnie – jednostka podległa administracji Fuerteventura, coś w rodzaju komisariatu straży morskiej. W rzeczywistości statek wojskowy, który dostarcza Marokańczykom broń. I to w dużych ilościach. Ci biedacy są dokładani jako specjalny bonus, coś w rodzaju transakcji związanej - „damy wam broń, jeśli ich przyjmiecie”. Domyślasz się, że sami Marokańczycy nie marzą o tym, żeby brać do siebie ludzi z Sudanu, z Sahary Zachodniej, z Kongo. Więcej z tym kłopotu, niż to wszystko warte. Co najwyżej pięć, dziesięć osób z tej grupy ueziera sześć tysięcy euro, żeby się wykupić. Resztę trzeba dożywiać, prowadzić korespondencję dyplomatyczną, rejestrować. Na szczęście tylko co silniejsi przeżyją kilka miesięcy. Reszta wykończy się w ciągu paru tygodni.

- Nie chcę tego wszystkiego słuchać! - zastoniła uszy dłońmi, bo lepsze to było niż krzyk. Choć na tym pustkowiu, o tej porze nie usłyszałby jej nawet Neptun.

- Znowu to samo. Jesteś fajna dziewczyna, ale strasznie nerwowa. Spokojnie – ważne jest każde życie, które możemy uratować. Ja, ty, ludzie których poznałaś i ci, których dopiero poznasz, cały nasz cholerny biały świat – każdy z nas ma tę samą szansę. I ten sam obowiązek. Nie zamykaj się w sobie. Jako Polka powinnaś to rozumieć lepiej niż inni. Przecież u was był Holocaust. Coś takiego przydarzyło się Tutsi. To samo jest w Somalii, w Darfurze, w Kongo.

Schyliła się do torby. Nie musiała długo szukać. Od razu wyczuła pod palcami twarde, okrągły kształt.

- Co tam masz?

Otworzyła dłoń.

- Co to?

- Chcę jej to oddać.

Przytrzymał jej dłoń swoją dłonią i popatrzył z bardzo bliska, dosłownie kucnął, by mieć ją przy sobie. Trwało to długą chwilę i wtedy pomyślała, że nie jest irlandzkim dupkiem, tylko kimś, kto...

- Chodź, pójdziemy razem...

- Doktorze Fonseja! - Standish zawołał hiszpańskiego lekarza w chwili, gdy ten zniknął w przejściu do kantyny.

- O co chodzi?

- Chciałbym, żeby pozwolił nam pan porozmawiać jeszcze z tą dziewczyną.

- Mówiłem, że się nią zajmujemy, że będzie hospitalizowana. Nic więcej nie mogę dla niej zrobić. A wam nie wolno kontaktować się z uchodźcami. Mam wyraźny zakaz gubernatora. Mieliście swoje trzy godziny, które wam obiecano.

- Doktorze, trzy minuty...

Doktor Fonseja westchnął jak parowiec.

- Dobrze, ale ani chwili dłużej. Potrzebujecie tłumacza?
- Tłumacza? Mam pan kogoś takiego? Nawet nie wiem, w jakim języku trzeba by z nią rozmawiać... może w arabskim pidżyn, albo w jakimś języku dinka...
- Oni się już sami dogadali... z tym tam...

Czarny mężczyzna, który z nimi poszedł, mówił dość niewyraźnie po angielsku i po drodze zdążył wymamrotać całą litanię słów, których Dunka nie rozumiała. Serafina leżała na noszach, przykryta żółtym kocem.

- Zapytaj ją jak ma na imię - poprosił Standish.
- Jednak zanim tłumacz zdążył wziąć się do roboty, dziewczyna odezwała się sama.
- Serafina Nialod.
- You speak english?
- Serafina nie drgnęła.
- Spytaj ją, skąd pochodzi.
- ...
- Mufi, se uroiua fioka Nazare. Nazare je Wau. Zieka Dziur, Sudan.
- Zapytaj, dlaczego chciała się utopić.
- ...
- Mufi, se nemapo co syt.
- Dlaczego nie chce wrócić do swoich...?
- ...
- Mufi, se staciua sy na, mufi, se iou sabiou kiedyfuci.
- Dlaczego?
- ...
- Niuepofi. Miluyeci.

Dunka przykucnęła i złapała dłoń czarnej dziewczyny swoją dłonią.

- Serafina. Wszystko będzie dobrze...
- Dunka nie powiedziała tego po angielsku. Nie pytaj, czemu. Ona też nie mogła tego wiedzieć. Tak było, że biała dziewczyna mówiła po polsku, a czarna dobrze ją rozumiała. Serafina przeniosła wzrok na otwartą dłoń Dunki i zaraz przylgnęła do niej wzrokiem.
- Dostłownie zza pleców wyrósł doktor Fonseja.
- Przykro mi, ale musicie kończyć.
- Serafina - Dunka doskonale się czuła, mogąc mówić do niej w języku, którego nikt poza nimi tu nie rozumiał – musisz żyć... musisz...
- Proszę, żebyście opuścili kantinę. Mam polecenie gubernatora... - głos Fonsejy wyraźnie się wyostrzył.
- Serafina... widziałam twojego syna...
- Chodź zanim będzie afera – Standish ciągnął ją za rękaw jak niegrzeczną małą dziewczynkę.

Ręce Dunki i Serafiny trzymały się jeszcze blisko. Drewniana tarcza wydawała się czymś, co je łączy, jak ogniwo łańcucha. W końcu Standish rozerwał tę obręcz, a Dunka poczuła, że twardy krążek łąduje z powrotem w jej dłoni.

- Teres Detur, Teres Detur – zawołała jeszcze za nimi Serafina.
- Co ona mówi? Standish? Co to było?
- Coś w rodzaju Teres Detur. Zapisz. Potem pomyślimy, co z tym zrobić.
- Jednym szarpnięciem zerwała linkę wiatrową, która zwisła z olinowań na górnym pokładzie, jakby czekając na tę okazję. Wszystko pasowało idealnie. Zawiesiła medalion na szyi.

Ostatnie trzy godziny drogi wytrwali, siedząc w kuchni, bez słowa. Obsługa tej "wycieczki" – pielęgniarki, lekarz, cywile z departamentu spraw emigracyjnych, gwardziści, którzy wymieniali warty w kantine przy uchodźcach, wszyscy oni mieli już dosyć nocnej przeprawy. Jeszcze co najmniej przez godzinę trzymano ich na redzie u wejścia do niewielkiego portu w Tan-Tan, gdzie w końcu, o czwartej nad ranem, Dunka i Standish jako pierwsi zeszli na ląd.

Na nabrzeżu pojawił się samochód z patrolem wymalowany w biało-zielone pasy. Podjeżdżał z daleka, oślepiając ich reflektorami.

- O co chodzi, Standish?
- Spokojnie, pamiętaj, że jesteś Ana Maria Gutierrez i chce ci się spać. Nie wypuszczaj z ręki torby, jeśli nie chcesz jej stracić. Ja zajmę się resztą.

Mężczyźni, którzy wysiedli z auta wyglądali na pewnych siebie i niezbyt uprzejmych. O dziwo, formalność sprawdzania paszportów nie trwała dłużej niż minutę. Standish rozdzielał przyjazne uśmiechy i, nie czekając na zaproszenie ze strony marokańskich strażników, wpakował siebie i Dunkę na tylne siedzenie auta. Dziesięć euro powędrowało do dowódcy patrolu. Wysadzono ich na głównym placu medyny zatopionej w słodkim sosie snu.

Dopiero teraz odważyła się odezwać.

- Standish! Gdzie my jesteśmy?
- A on zaczął się śmiać i w końcu silnym gestem przyciągnął ją do siebie:
- You are in Africa, Dunka.

Nie minęło pół godziny jak siedzieli w taksówce, która za całe pięćdziesiąt euro miała ich zawieźć do Agadir. Zanim opuścili rogatki miasta, Dunka spała na ramieniu człowieka, który tego dnia zmienił jej życie na dobre.

## Rozdział IV

Obudziła się, jak to mówią w Polsce, „na rumuna”, co nie jest zbyt fajnie. Owinięta w prześcieradło, w dżinsach, podkoszulku i z brudnymi nogami. Odkład zdjęta szpilki, jeszcze na Fuertaventura, zdzierając parę żółtych ha-vaianasów - „japonek”, jak to mówią w Polsce.

Standisha nie było. Nie wiedziała, że od świtu był w więzieniu, gdzie wydano mu potwierdzenie przyjęcia zbiegów. Pozwolono mu także na bardzo krótkie widzenie, w dwóch osobnych salach, dla kobiet i dla mężczyzn. W każdej było po kilkudziesięciu więźniów. Zrobił trochę szybkich zdjęć iPodem.

Po powrocie do hotelu nie poszedł na górę, lecz od razu utkwiał w recepcji, przy telefonie. Próbował wydzwonić bezpośrednio z Madrytu jakąkolwiek pomoc dla Serafiny. Dlaczego to robił? W ciągu ostatnich pięciu lat widział setki uchodźców, kilkudziesięciu topielców i co najmniej kilka razy matki rodzące dzieci wprost na plaży, w reflektorach straży morskiej. Wiedział, że Serafina jest skazana na śmierć. Podobnie jak większość z tych sześćdziesięciu ludzi, z którymi poprzedniego dnia rozmawiał. Reguły były tu surowe. W ciągu kilku tygodni ktoś z rodziny powinien zgłosić się po odbiór więźnia i wpłacić astronomiczną sumę tak zwanej kaucji. W przypadku Serafiny niewykonalne. Szansa na dotarcie na południe Sudanu mniejsza niż zero.

Rozmowy z ludźmi z Madrytu. Że nie ma takiej siły, by cofnąć czarną dziewczynę z powrotem do Europy.

- Daj sobie z tym spokój, Standish.

- Ok – Standish odłożył słuchawkę.

Zapukał do drzwi pokoju hotelowego, gdy jeszcze spała.

- Restauracja jest na dole. Czekam na ciebie.

Uwinęła się w kilka minut. Pośrodku holu szumiał maleńki wodospad sztucznej wody z przezroczystych płytek lateksu. Ze ścian schodził tynk, chodniki pokrywał nie usuwany od lat kurz, a jednak tabliczka zdradzała francuski szyk tego kolonialnego azylu z lat dwudziestych. „Hotel Agadir. Concierge ici”.

- Gdzie byłeś w nocy?

- U twoich stóp. Chrapiąc jak pies. Nic nie słyszałaś, bo straciłaś kontakt z otoczeniem...

Przyjęła to z uśmiechem, choć szkoda, że u stóp...

- Co teraz?

- Misja skończona.

- To znaczy?

- Możemy stwierdzić fakty. Mamy oficjalne potwierdzenie, że 67 osób, w tym 32 kobiety i 35 mężczyzn przejęły służby więzienne Królewskiego Więzienia w Agadir. Wszyscy dostali ten sam warunek wyjścia na wolność – wpłacenie kaucji i odbiór przez najbliższych członków rodziny.

- Wypuszczą ich?

- Wątpię. Ale to już sugestia, nie fakty. Zwykle tylko garstka może spełnić te warunki. Pozostałych trzymają jeszcze pół roku, a tych, którzy przeżyją wypuszczają blisko granicy z Saharą Zachodnią i Mauretanią, kierując ich na południe, do Senegal. Mam mówić dalej...?

- Co z Serafiną?

- Wróc do pokoju i odpal laptopa. Jeśli wpisałaś wszystkie dane – wyślemy to zaraz do Madrytu. Wieczorem odpływamy z powrotem bezpośrednio z tego portu. Na Fuertaventura będziemy jutro rano. Tam się rozstaniemy. Wsiądziesz na statek i wrócisz do domu – Standish spojrzał na zegarek. – A teraz, jak się pośpieszysz, zdążymy jeszcze powąchać Afrykę...

Cisza.

- Nie możemy jej tak zostawić!

- Konsul z Melila załatwił jej zwolnienie z kaucji, ale Arabowie nie zgadzają się wypuścić czarnej dziewczyny samej na ulicę. Wiedzą, że my też nie mamy co z nią zrobić. Z nimi się nie negocjuje.

- Więc co zamierzasz?

- Słuchaj. Jestem lekarzem. To moje powołanie. Znam się na tym. Ważne jest dla mnie każde życie. Zwłaszcza tutaj. Ale zapewniam cię, że bohaterowie żyją w Afryce bardzo krótko. Nie pojedziemy po jej czarnego brata czy męża, jeśli w ogóle go ma, do Sudanu.

Powiedział to z niechęcią. Nerwowo i niesympatycznie. To zwykle boli.

- Ale zrobiłem jej zdjęcie – dodał, jakby na usprawiedliwienie. Wyjął z kieszeni iPoda.

Serafina Nialod popatrzyła na Dunkę. Dunka popatrzyła na Serafinę. „Nigdy jej nie zapomnę” – pomyślała po polsku.

- I'll never forget her. – powiedziała przez ściśnięte gardło.

- Chcesz? Wyślę Ci to zdjęcie. Masz skrzynkę mailową?

- Naprawdę? Możesz to teraz zrobić? „dunkadwamałpatlenpe-el”

- Proszę bardzo. Już jest twoja.

Arabskie kobiety, wiele z nich ubranych po europejsku, wiele skrywających włosy w tarhach, rozgrzani mężczyźni, wielu z nich w t-shirtach, wielu w długich abayach i kefiach na głowie, rowery, skutery, auta, cała ta masa, napierająca ze wszystkich stron na skrzyżowaniach wąskich, kamiennych ulic, napawała przestachem białą kobietę. Jednak to nie gęste widoki, nie parne powietrze, lecz zapach przyprawił Dunkę o porażenie. Aromaty goździków, kurkumy, słodkich bananów i rybich wnętrzności mieszały się

tu z piachem pustyni podpełzającej pod brzegi oceanu. Torba nieznośnie ciążyła w tym upale. Dawno minęło południe, wiatr przynosił teraz świeże bryzy znad wielkiej wody. Zatrzymali się w barze, gdzie wyschnięte twarze szukały cienia pod wielkim parasolem Coca-Coli.

Standish zniknął w środku, zostawiając Dunkę przy niewielkim stole, gdzie siedzieli na niziutkich rzeźbionych krzeselkach, niemal na samej ziemi. Właśnie wtedy, nie wiedząc czemu, wyjęła z torby paszport i wsunęła go do tylnej kieszeni. Siedząc, czuła, jak uwiera ją na tytku i jednocześnie starała się go jak najmniej pognieść. Już miała go wsadzić z powrotem do torby, czując absurd tej sytuacji, gdy niespodziewanie ktoś, kto miał nie więcej niż dwadzieścia lat, tyle co ona, głowę pokrytą dreadami i rower zatrzymał się wprost nad nią.

- Skąd jesteś? - ruszył na nią po angielsku.

- Ja? ...Z Polski... to znaczy... z Hiszpanii.

„Ale wtopa...” - Dunka przypomniawszy sobie o paszporcie.

- Z Polski? Tej koło Rosji? Niedawno poznałem jedną Polkę. Dużo was tu ostatnio.

- Nie, nie, z Hiszpanii. Z Czerwonego Krzyża – gwałtownie zaprzeczyła, a zaraz potem postanowiła uciąć rozmowę i wbiła wzrok w przeciwną stronę ulicy.

Standish wrócił do stolika, niosąc mosiężną tackę z dzbankiem ataj, zielonej miętowej herbaty. Chłopak z dreadami bez skrępowania posadził przy stoliczku rower, a zaraz potem siebie. Na blacie wylądowała też zaraz jakaś książka.

- Kin-ga. Nazywała się Kin-ga. To twoja koleżanka? Pojechała na pustynię po białego wielbłąda. Szosą na Tinduf, do Asmary.

Standish bez słowa i dosyć niechętnie przyglądał się człowiekowi, który tak natarczywie starał się ich zabawić.

- A ty skąd jesteś?

- Jestem Book.

- Buk... - powtórzyła Dunka po swoim.

- No wiecie, „Book”, bo ciągle czytam jakiś „book”. Jedyne człowiek w Maroku, który tu czyta coś innego niż Koran. Popatrzcie, co zdobyłem... Kurt Vonnegut „Slapstick” ... niezłe... ale trochę za bardzo białe... Ha ha ha. Wszyscy mnie tu tak nazywają... Book... A tak naprawdę to ja jestem Norweg – dredy zatoczyły w powietrzu koło i zakotywały w kierunku północy, tam, gdzie ulica, na której siedzieli, zbiegała się z zaułkiem, nad którym górował meczet. - Jestem z bardzo wysoka mapy, z samej góry atlasu. Mój ojciec był Norweg, a matka – Senegal. Ojciec – wielki biały Norweg, konsul,

ha ha ha, nigdy go nie widziałem. Moja piękna czarna matka... wydała na świat mnie, faceta z białymi dreadami. Ha ha ha. - Roześmiał się szczerze i sięgnął ręką do talerza. - Dobrze jedzenie, lepsze niż w Norwegii... Tam się je dużo ryby, a ja jestem „complete vega” - „no carne, carne no, comprende”? Ha ha ha...

- Uhm – Standish się zaciekawił. - Byłeś w Europie, Book? W Norwegii?

- O nie. Ale się tam wybieram. Tym razem to już na pewno mi się uda. Mam trochę forsy. Ha ha ha. A może wy mi pomożecie się tam dostać? Mam marokański paszport, nie jest źle, ale muszę znaleźć jakieś zaczepienie pod drugiej stronie. We Francji albo gdzieś obok. Ja nie jestem jak ci ciemniacy, którzy przedzierają się na starych szalupach. Ja jestem Norweg. Ha ha ha. Tylko muszę się stąd wydostać. Wożę Arabów tym rowerem. Mam wózek, który przyczepiam z tyłu i jestem „taxi”. Ha ha ha – zawsze zarobię na fa-solę i arbuzy z migdałami.

- Nie znasz kogoś z Sudanu, Buk? - palnęła nagle Dunka.

Standish wydał z siebie wiązniękę paraliżującą za pomocą spojrzenia wbitego w profil Dunki.

- Z Sudanu? Znam całą masę ludzi. A co potrzeba? Można stracić czy zarobić?

- Można... pomóc. Chodzi o dziewczynę, która jest tu w areszcie. Żeby mogła wyjść, musi ją odebrać ktoś z rodziny. Ktoś z Sudańskiej rodziny...

Standish mruczał pod nosem i robił się purpurowy jak owoc granatu. Ale Book był już w swoim żywiole:

- Pewnie, a co przeszkodziła? Kradła? Ciężko będzie. Tu kradzież to największe przestępstwo. Ha ha ha. Tak jak „drugs”! A może chcecie zapalić dobry, prawdziwy haszysz?

- Rozprowadzasz stuff? - Standish drwił i jednocześnie pytał.

- O nie, skąd. Znam ludzi. - Buk szybko zmienił temat - A co z tą dziewczyną z Sudanu?

Dunka brnęła.

- Próbowaliśmy się dostać do Hiszpanii.

- Aha. I Hiszpanie ją zawrócili...? - pokiwał ze zrozumieniem głową – to normalne. Nie ma sprawy. Zapłacimy komu trzeba i będziecie ją mieli w trzy minuty. Przyprowadzę wam dziesięciu Sudańczyków do wyboru. A potem wszyscy popłyniemy razem do Hiszpanii. Tak?

Standish spojrzął na zegarek. Dunka pomyślała o swoich dwustu sześćdziesięciu pięciu euro w banknotach i upewniła się, że ma je przy sobie w kieszeni.

- Zbieramy się, Dunka.

Ale Book nie chciał się poddać bez walki.

- Ja mieszkam blisko, bardzo blisko, zaraz jak skręcicie w prawo, zobaczycie dom szewca Abdullaha. Mam tam pokój. Bardzo wygodny. Możecie się

przespać, a rano zajmiemy się waszą sudańską dziewczyną...

Przez kilkanaście minut jazdy taksówką nie powiedzieli do siebie ani słowa. W milczeniu zajęli miejsca na tylnym siedzeniu starego citroena, który zerwanym wydechem rył bulwar Mohameda, prac przed siebie jak wielbłąd, który zna drogę .

- Wracamy tym samym statkiem?

- Nie, tamci są już dawno na Fuerteventura. Ale są statki towarowe. Znam kapitana, który dzisiaj wypływa.

- Ile taka przyjemność kosztuje?

- Nie martw się. Zapłacimy za twoją podróż.

- Ale powiedz, ile?

- Sto pięćdziesiąt euro.

Kupa kasy... - pomyślała Dunka.

- A gdybyśmy popłynęli jutro? Tylko jeden dzień, Standish! Można by spróbować coś z tymi Sudańczykami. Może by ją wypuścili? Sam mówięś, że w tym wszystkim sens ma życie nawet jednego człowieka. Ja zapłacę za swój transport...

- Nie da rady. Kapitan Almendros wypływa tylko dwa razy w tygodniu. Następny rejs jest dopiero w czwartek. A poza tym oświadczam ci, że nie możemy nic dla niej zrobić. Nie będziemy się szarpać z Sudańczykami. Nie znasz ich. To jest niebezpieczne. A poza tym nielegalne. My tak nie działamy. Nie możemy narażać całej struktury na to, że Marokańczycy zrobią nam embargo.

Port przywitał ich szelestem i chłodem. O tej porze dnia ocean zaczynał zasysać swoje wody do wnętrza, ukazując gołe dziąsła doków. Standish zatrzymał taksówkę przy dźwigu portowym, w tak zwanym małym porcie, gdzie miały schronienie mniejsze kutry, zwykłe rybackie łodzie oraz stateczek ozdobiony srebrnymi literami „Bienvenu”.

Standish wyjął jej torbę z ręki i objuczony także swoimi bagażami ruszył na trap. Przypatrywała się ceremonii powitalnej. Hiszpański kapitan klepał Standisha gdzieś na wysokości pasa (wyżej już nie sięgała jego wylewna radość) na widok trzystu euro. Zanim obaj zniknęli pod pokładem, Standish odwrócił się jeszcze do Dunki i zamachał, żeby czym prędzej kierowała się za nim.

Spojrzała w stronę miasta. Mogło jej być wszystko jedno, ale nie było. Mogła płynąć z powrotem, ale nie płynęła. Dwieście sześćdziesiąt pięć euro. Powinno wystarczyć. Miała nadzieję, że Standish zdąży ją jeszcze zobaczyć, że stanie się coś, co zmieni całą sytuację w żart. Oddalała się jednak

od „Bienvenu” samotnie, przez nikogo nie zauważona.

Na bulwarze Mohameda, do którego dotarła w parę minut, auta sunęły w dwóch kierunkach po kilku pasach. Gdzieś za nimi znajdował się bar z czerwonym parasolem. Tam, zaraz za murem, w prawo, szewc Abdullah. Buk. Sudański krewny dla Serafiny. Chce ją tylko wsadzić w pociąg do Sudanu. Musi być jakieś połączenie. W czwartek pojawi się na „Bienvenu”. Sto pięćdziesiąt euro. To znaczy, że sto jest wolne. Musi wystarczyć. Tu jest tanio.

Po godzinie marszu dotarła do miejsc, które wydały się jej znajome, do takiego kwartału ulic i znaków, które przypominały okolice hotelu „Agadir”. Wiele razy załomy muru czy skrzyżowania o charakterystycznych fasadach dawały złudzenie, że jest u celu. Ani razu nie natknęła się jednak na czerwony parasol.

W końcu zaczęła odczuwać piętno spojrzeń nocnych przechodniów. Niemiecka czy australijska turystka bez bagażu, samotnie o tej porze, w najciemniejszych zaułkach Agadir? Wykończona, poczuła impuls energii na widok oświetlonych drzwi niewielkiego hotelu, który wyglądał w miarę swojsko. Przy blacie recepcji zamiast Araba zobaczyła grubą blondynkę obsypaną na twarzy jaskrawym deszczem całkowicie rudych piegów i pryszczycy. Cyfrowy wielki zegar pokazywał godzinę jedenastą trzydzieści.

Dziewczyna była Niemką, która osiadła w Agadir z poligamicznym mężem – lekarzem. Poznała go w Metz, na uczelni, gdzie oboje studiowali medycynę. Eva nie skończyła studiów, porzuciła wygodne życie w protestanckiej rodzinie, aby chronić przywileje pierwszej żony. I oczywiście przyjęła jedyną świętą wiarę wyłożoną w Koranie. Poza wszystkim pozostała wciąż sobą – gadatliwą i niesforną fantastką. Trwało to dobry kwadrans, zanim zaspokoili ciekawość na temat Dunki, Standisha, statków, uchodźców i Serafiny. Wystawiła drewniana skrzyneczkę, w której znalazło się kilka placzków, kawałek wędzonej ryby i dwie soczyste pomarańcze.

I wtedy Dunka przypomniała sobie o zdjęciu wystanym na tlen. Więc odpalili komputer hotelowy i weszły w skrzynkę, gdzie czekał list od nadawcy st@gmail.com. Trwało to długą chwilę, bo sprzęt był stary, a łącza beznadziejnie wolne. Zdjęcie Serafiny ściągało się dziesięć minut.

- Wiesz co? Trzeba zrobić odbitkę. Wiem, gdzie. To bardzo blisko. - Eva okazywała znacznie więcej serdeczności niż to się zwykle przypisuje Niemcom. - Śpij ze mną tu, w kantorku. Co będziesz płacić za hotel! Zmieścimy się tu we dwie. Wstaję o szóstej rano, a ty się wyśpij. O dziesiątej mam zmiennika. To Arab. Kuzyn właściciela. Lepiej, żeby cię tu nie widział.

- Dzięki – Dunka przyjęła to tak po prostu, bez żenady, jak nową lekcję czegoś, co prowadziło własnym szlakiem. - Jeszcze chciałabym mu odpisać. Dosłownie moment: „standish, i'm very sorry, please, forbitt, see you next thuesday :))))dunka”

I w ten sposób zasypiał dzień na afrykańskim łądzie. Jeszcze nad ranem siedziała na ogromnej polskiej łące, popstrzonej plackami krów, tętniącej życiem stworzeń ukrytych w żółtych mleczach, patrząc na dom z czerwonej cegły. Dom, który wydawał się znajomy lub przyjazny, choć był już stary i nie widziała go nigdy przedtem. Na skrzyżowanych kolanach trzymała dziecko, a była pewna, że to jej własne dziecko. I nagle w tym pejzażu usłyszała:

- Wstawaj, Duuuunka. Mam coś dla ciebie.

Twarz Serafiny na odbitce była wyraźna i dobrze naświetlona. W jednym oku tlił się ogieniek lampy błyskowej, co przydawało jej strapieniu trochę radości.

- Zaraz przyjdzie mój zmiennik. Poczekaj chwilę w barze obok. To Libańczycy. Spoko ludzie. Mają pyszne ciastka z winogron i dobrą kawę.

Za kwadrans Eva naprawdę przyszła. W czarnej chuście shayla, kryjącej rude loki przed spojrzniętymi mężczyznami i w sukni abaya, pod którą zniknął szary tiszert. Było jej w tym do twarzy. Wyglądała jak średniowieczna święta.

- I co zamierzasz? Chcesz znaleźć tego Booka, czy jak mu tam...?

- Wrócę do hotelu „Agadir” i stamtąd spacerem znajdę bar z parasolem. Mam dwa dni – w czwartek odpływa statek na Fuerteventura.

- Nie mogę cię odprowadzić do samego hotelu, ale podejmiemy w miejsce, z którego na pewno trafisz. Przykro mi, ale nie zaproszę cię do nas, do domu. Jestem cholernie zazdrosna, a poza tym mieszkam z teściową. Ona tam rządzi. Tu masz mojego maila – napisz kiedyś, jak ci się udało.

- Jeszcze raz dzięki za wszystko i za to zdjęcie. Ile kosztowała odbitka?

- Nie ma sprawy... - Eva machnęła ręką i wstała. – Muszę już wracać do domu. Chodź, pokażę ci drogę do „Agadir”.

Ale Dunka nie musiała tam wracać. Nie przeszła tysiąca kroków, gdy kątem oka zobaczyła nadjeżdżającą rykszę. Book poznał ją także od razu.

- Wsiadaj, Kin-ga. Wsiadaj, gdzie jedziemy?

Wszystko stało się jakoś tak naturalnie. Rower się nawet nie zatrzymał. Po prostu jechali niezbyt szybko wzdłuż ocienionej ściany.

- Mam na imię Dunka, nie Kinga...

- Och, tak, wiem, ha ha ha, Kinga pojechała po białego wielbłąda, ha ha ha, na pustynię. Szosą na Tinduf, do Asmary. A gdzie twój chłopak?

- To nie był mój chłopak, to Standish z... takiej jednej organizacji. Poptynała na Fuerteventura. A ja zostałam, żeby ją wyciągnąć.

- Kogo wyciągnąć i skąd wyciągnąć?

- No, jak to – kogo?! Serafinę! Opowiadałam ci wczoraj...

- Ach tak, pamiętam. I co?

- Musimy znaleźć krewnego z Sudanu.

- Ok, krewnego z Sudanu... Będzie kłopot...

Book pedałował bez wytchnienia, choć miała wrażenie, że po raz trzeci mija ten sam sztyld wypisany zielonymi zygzakami po arabsku.

- Jak to – kłopot? Mówiłeś wczoraj, że znasz Sudańczyków. Ja zapłacę. Dam Ci pięćdziesiąt euro, jeśli znajdziesz Sudańczyka, który potwierdzi jej tożsamość. Po prostu zawieziesz go tam i on ją wyprowadzi jako swoją siostrę, albo córkę, albo nie wiem, kogo...

- Będzie kłopot...

Book kiwał głową, a za każdym ruchem biały kokon jego włosów ciął powietrze jak wachlarz.

- Zatrzymaj!

Właśnie zjeżdżali w dół uliczki, która z wolna odkrywała senne oblicze najuboższej z dzielnic tego miasta. Tylko gromadka chłopców kopata wyleniała piłkę, wznosząc kurz i potworne wrzaski.

- Zatrzymaj!!! - choć krzyknęła tym razem o wiele głośniejszym głosem, nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na ryksiarza i białą kobietę.

- Ok, ok! - Book zszedł z siodła i spojrzał jej prosto w twarz.

- Nikt tego tu nie robi, bo każdy czarny będzie się bał wydalenia z Maroka, z powrotem do obozu. Oni są tu wszyscy na widoku. Arabowie patrzą z góry na czarnych i nikt tu się z nimi nie bawi.

Dunce zabrakło słów. I tych angielskich, i tych polskich. Aż sapnęła z wściekłości. I beznadziejnie wylała z siebie gorzycę po polsku.

- Ty idioto! Nie mogę w to uwierzyć... I co teraz? Przez ciebie zostałam tutaj sama, w tej cholerniej Afryce, a ty mi mówisz, że to wszystko nieprawda? Że nie masz nikogo, kto poszedłby po nią do aresztu? Ty świrze! Wiesz, co zrobisz!?

Book wiedział, co miała na myśli, ale jakoś podszedł do tego spokojnie.

- Sorry, Kin-ga, możesz się u mnie przespać. Zastanowimy się, co zrobić...

- Nie jestem Kin-ga! - Ryknęła – I'm Dun-ka! Remember! Dun-ka!

Book zajmował niewielką izbę w domu szewca Abdullaha, gdzie o tej porze powitała ich otyła, zbyt wcześnie postarzała dziewczyna w wieku Dunki, z liczną gromadką dzieci uczeponych jej sukni. Ale też Dunka w życiu nie jadła tak wspaniałej kaszy, nie piła takiej mięty z zieloną herbata, nie miała tak spokojnej głowy, jak właśnie wtedy, gdy Book zostawił ją sam na sam

z Aiszą i jej dziećmi, żeby samemu rozejrzeć się po mieście w „tych” sprawach.

Minęło może pół godziny, może więcej, gdy wrócił, tryskając humorem.

- Spotkałem ludzi, którzy mają doskonałe pomysły. Na pewno coś wymyślą. Spotkamy się z nimi wieczorem u Francuza.

- Kto to jest Francuz?

- Ma klub, na bulwarze Mohameda. Lubisz tańczyć? Grają tam niezłe dźwięki. Teraz jadę zarobić na jakieś bakłażany. Ha, ha, ha. Prześpij się, niedługo wrócę po ciebie. O, popatrz. Mam budzik w kształcie meczetu. Za dwie godziny obudzi cię modlitwa muezina.

Została sama. Nie było mebli, ale wszędzie na podłodze walały się dowody beztroskiego życia Buka – mosiężny dzbanek, talerze, kilka par płóciennych spodni, tiszerty, ogromny, świecący chromem sprzęt do miksowania płyt, sandały, kadzidła. Gdy nacisnęła przycisk boomboxa, od razu wyzwoliła transowy dźwięk rytmów techno znajomych, choć przebitych mocnym, solidnym miksem arabskiej nuty. „Dobra...” - opadła na materac, jedyny sprzęt meblowy w tym królestwie, i tak została wsłuchana w dźwięk Afryki.

Zasłona, która oddzielała izbę Booka od reszty domu uchyliła się i stanęła w niej Aisza. Wyciągnęła przed siebie dłonie, na których – jak bochenek chleba, leżały dwa świeżo wypieczone sandały z jasnej skóry, obszyte w kilku miejscach tkaniną z gęstym haftem. Stała bez słowa, ośmielając Dunkę spojrzeniem i uśmiechem, jakby mówiła prosto – „Weż, to dla ciebie”, po czym postawiła je przy progu i zniknęła za zasłoną. Po chwili wróciła, niosąc jeszcze dużą, cynową misę pełną wody i dwa kawałki płótna, coś jak ręczniki.

Dunka wytarła spocone ciało. Widziała, że koszulka i dżinsy, które miała na sobie, domagały się minimalnych choćby zabiegów odświeżających. Poza tym zaczął ją wkurzać duży napis przecinający piersi - „navigation”. „Głupie ciuchy, zupełnie się tu nie nadają” – patrzyła na siebie z lekkim zniechęceniem.

Wkrótce pojawił się Book.

- Gotowa?

- Popatrz, co tu przyniosła twoja gospodyni.

- Założ je, są dla ciebie.

- Dla mnie?

- Och, tak. Mówiłem jej, co tu robisz. Ona jest dobrą Muzułmanką i nie chce, żeby w Sudanie ginęli czarni. Aisza chce ci pokazać, że idziesz dobrą drogą.

Poza tym popatrz na swoje nogi! W tym, co masz, daleko nie zajdziesz.

Na bulwar Mohameda poszli pieszo. Dobrze się szło. Lekko i pewnie. Klub nazywał się po prostu „Beduin”. Weszli od razu, choć pod bramką – jak w każdym klubie, kłębili się napierający ludzie. Wyraźnie Book nie był tu obcy. Powitał ich ryk deków, przy których jakiś biały didżej miksował dźwięki francuskiego house'u z odgłosami Senegal. Flesze świateł, wielki ekran z wideoartem, a przede wszystkim po tych dwóch dniach tak nagła zmiana otoczenia – enklawa białej rasy – znane klimaty dance'owej mody. Po godzinie nie potrafiłaby wymienić ani jednego powodu, dla którego się tu znalazła. Book złapał ją w locie.

- Idziemy – ryknął Duncce w ucho, właśnie, gdy didżej przemiksował się na jakiś spokojny kawałek. Nikt nawet nie podniósł oczu.

Wyszli przed klub, gdzie uderzyła ją fala nocy, chłodnej i ciemnej.

- Chodź, odprowadzę cię do Abdullaha, a sam pojedę do matki.

Jęknęła otumaniona całym tym szaleństwem, który ją porwał.

- Co się dzieje? Jaka sytuacja?

- Sytuacja jest taka, że albo wracasz w czwartek na wyspy, albo musisz się dostać do Dakaru, skąd będziesz miała samolot do Chartumu, a może nawet niżej, na południe. Stamtąd masz krok do Darfuru. Tam są biali. Pomogą ci znaleźć rodzinę tej dziewczyny. Wiesz, z jakiej jest wioski?

Skinęła głową, choć nie dałaby sobie głowy uciąć, czy miało to jakiś sens...

- Zaczekaj. Co ty mówisz? Do Chartumu? Ja mam tam jechać?

- Lepiej, żebyś wróciła na wyspy, do Hiszpanii. Ale jak chcesz, to brat jednego z moich kumpli ma firmę transportową. Obsługują białe biznesy, pomoc humanitarną, takie tam różne. Słyszałaś może rajd Paryż – Dakar? On ci pomoże znaleźć miejsce w samolocie do Sudanu.

Na czubkach palców, klap klap w sandałach, minęła śpiące dzieci Aiszy. Padła na postanie, nie widząc nawet olbrzymich karaluchów, które po nocy obejmowały we władanie królestwo Booka.

„To ja jestem idiotką...” - ta pewność jakoś spokojnie pozwoliła jej zebrać poranne sny w całość znaczeniową... „Jestem idiotką, która musi natychmiast wracać do domu, zanim nadymi jeszcze bardziej. Serafina, wybaczone, ale nie mogę nic więcej dla ciebie zrobić... Zaraz idę do portu i wsiadam na najbliższy statek na Fuerteventura. Dwieście sześćdziesiąt pięć euro – to wystarczy, żeby wrócić. Znajdę Standisha, odbiorę torbę, a potem zaokrętuje się na jakikolwiek statek do Europy.”

- Dzięki, że chciałeś mnie przenocować, dzięki za wszystko. Postanowiłam wracać do siebie, do Europy. Będę o tobie pamiętała. Jak będziesz w Polsce

– koniecznie zadzwoń. Tu masz telefon. Daj mi swojego maila.  
Bez słowa podał jej kopertę, na której ktoś nierównym pismem zanotował „Jean Claude Rousseau (mon frere) – Darfur, aeroport Yoff”.  
- List do tego człowieka od samolotów. On tu ma brata, a ten brat jest moim dłużnikiem. Ha ha ha... on bardzo lubi habli babli... ha ha ha... Jedź na na lotnisko Yoff w Darfurze.  
- Ja mam to zrobić s a m a?  
- Tak jak Kin-ga. Ona jedzie już piąty rok przez świat. Spędziła noc na tym samym materacu, w tym samym domu. Jest teraz w drodze na południe, na Saharze. I wiesz, jak to robi? Stopem. Sama. Kilka dni temu odwoziłem ją na szosę. Jak się pospieszysz, to ją znajdziesz. Szuka wielbłąda.  
- Kogo?  
- Białego wielbłąda.  
Cisza. I cisza. I cisza. Bo cisza nie należy do nikogo.  
- Zawieziesz mnie na tę szosę?  
- Jasne. Weź ten plecak. W środku masz koc, sweter, spodnie, kubek, mapę, kilo ryżu, butelkę wody i pomarańcze...  
- Dlaczego to robisz?  
Po raz ostatni zarzucił pękiem bambusowych włosów.  
- Kiedyś się jeszcze spotkamy... ta podróż nigdy się nie kończy, ha ha ha....

## Rozdział V

Matko, niech ktoś tu przyjedzie – jęknęła Dunka po kilku godzinach siedzenia w ciemnościach na szosie u wrót El Aaiun. Gadatliwy Mohamed, który przywiózł ją do tego miejsca vanem wypełnionym chińskimi laptopami, mocno już po zachodzie słońca, nie chciał pieniędzy. Ale też czym prędzej zniknął, zostawiając Dunkę, w miejscu, gdzie Sahara wdziera się do nowoczesnego miasta, jakby z obawy przed oczami postronnych świadków.

Woddali majaczyły ceglaste kopuły arabskich domów. „Allah Akbar” usłyszała w końcu, gdy noc niepostrzeżenie zmieniła suknię obsypaną diamentami gwiazd w świetlistą, złotą gelabę. Pierwsza modlitwa dnia to właściwy moment, by zatrzymał się samochód pełen kobiet i dzieci. Arabska rodzina patrzyła na Dunkę przez szybę eleganckiej toyoty, bez słowa zapraszając do środka. Poczula śmiertelne zmęczenie nieprzespaną nocą, więc nie pytając o kierunek drogi, po prostu wślizgnęła się w miejsce, z którego dwie małe dziewczynki wdrapały się na kolana jednej z kobiet. Pustynny, bezludny pejzaż Sahary przemykał pod powiekami jak senna mara. Zmęczenie, a w końcu i bezlitosny głód, do tego stopnia przytępił zmysły, że nie słyszała nawet, jak cała rodzina wysiadła, trzaskając niemilosiernie drzwiami toyoty pod rozłożystym, białym welonem.

Namiot okazał się zajazdem pierwszej klasy oferującym zbawienie – misy pachnących warzyw, mięsa, chlebowe placki, daktyle, a w końcu i najstodsza na świecie kardamonową herbatę. Nie rozumiała, że pijąc ją trzy razy, wznosi toast. Pierwszy za życie, drugi za miłość, trzeci za śmierć.

Wolała po prostu poczuć entuzjazm gwaru dzieci i zachęcających uśmiechów kobiet – Aminy i Gejdy, które okazały się siostrami eskortowanymi w podróż przez brata. Nieznajomość nawet najprostszych francuskich słów dawała się Dunce we znaki, ale koniec końców okazała się całkowicie zbędna, by zrozumieć, że berberyjska rodzina wraca do domu z wesela dalekich krewnych gdzieś z wydm Sahary Zachodniej, że od granicy dzieli ich nie więcej niż godzina drogi oraz, że Ana Maria Gutierrez y Azar nie posiada wizy wjazdowej do Mauretanii.

Najciekawsze było jednak odkrycie, które poczyniła za wydmą, gdzie zaciągnęły ją kobiety, by z dala od mężczyzn załatwić toaletę. Usiadły na błękitnej shayli, którą Amina zdjęła z głowy, i rozpostarła na rudym pyłe pustyni. Wyjęła małe puderniczkę i podała bez słowa Dunce. Zobaczyła twarz kogoś, kto pojawił się w jej życiu po raz pierwszy – twarz bez historii, bez imienia. Szare oczy, złocista skóra, poczochrane kosmyki białych włosów były jak farba, którą mogła namalować każdy portret. „Po co tu jes-

tem?” - mogła zadać pytanie, lecz tylko westchnęła, zatraskując wieko puderniczki. Spięta porządnie włosy gumką i pomyślała, że przy pierwszej okazji musi sprawić sobie arabską chustę.

Dunka była członkiem rodziny, dzięki czemu i wiza okazała się zbędna, skoro przez posterunek graniczny przejechali, lekko tylko zwalniając toyotę. Brat Aminy i Gejdy znał tu wszystkich strażników, a oni znali jego i nie podnieśli nawet głów znad paszportów kilkunastu amerykańskich turystów, którzy głośno dopominali się od kilku godzin wizy wjazdowej do Mauretanii. Nowa berberyjska rodzina zawiozła Dunkę aż do rozwidlenia głównych szos po mauretańskiej stronie pustyni.

- Czy was jeszcze kiedyś zobaczę?

- Inshallah! Jak Bóg zechce...

„Nouakchott” i „Nuadibou” obwieszczają tablice po prawej i lewej stronie drogi. Chłód pory zimowej, który do tej chwili przyjemnie lizał ciało temperaturą nie wyższą niż 20 stopni, zaczynał dawać się we znaki. Sweter od Booka okazał się idealnie przydługi, by dać schronienie na dalszą podróż. To wystarczyłoby, aby myśleć o nim z wdzięcznością. Ale on po swojemu chichotał, zabawiając się dzwonkiem rykszy, bo wiedział, że mapa przyda się bardziej w tej sytuacji.

A więc - „Nouakchott”. Dojechała tam szybciej niż można było sądzić z mapy. Asfalt wyglądał, jakby go położyli wczoraj, choć silny wiatr nawiewał przymy piachu, malując na nim ekspresyjne desenie. Z każdym kilometrem przemierzonym w otwartym i pustym koszu ciężarówki na zewnątrz gęstniał tłum wszelkiego rodzaju pojazdów. Niektóre z nich były szokującymi wynalazkami ludzkiej umysłowości. Prawdziwie fascynujący był jednak widok wielbłądów. Były to zwierzęta majestatyczne i zarazem bardzo zabawne, gdy się patrzyło na ich wykrzywione gęby. Stanowiły naturalny element pustynnego pejzażu i Dunka z przyjemnością obserwowała kołyszące biodrami kolosy, które co i raz zmuszały kierowcę do gwałtownego hamowania. Co jakiś czas mijali koczowiska nomadów, byle jak sklecone szałas, namioty, prowizoryczne budy, tak samo nierealne, jak całe życie na tym bezdrożu z jedną jedyną drogą przed siebie.

I znowu gwałtowny przypływ nocy tym razem przywitał Dunkę w porcie, gdzie kierowca po prostu zniknął w jednej z drewnianych bud. Bez pożegnania ześlizgnęła się z kosza ciężarówki i desperacko pomyślała o noclegu. To wystarczyło, by kilka kroków dalej dosłownie wpaść na motor, który właśnie zaczynał mrużyć przyjemnym tonem rasowej hondy. Noc spędzona w namiocie kempingu „Nouvelle”, pomarańcze od Booka, które zjedli Francuzi,

oferując w zamian ryby, i koc od Booka, który pozwolił zasnąć w bezpiecznym kokonie, i jeszcze myśl, że Nowy Rok, że śnieg przykrywa skośne dachy Władysławowa, chyba, że wieje północny wiatr i wtedy śnieg jest dopiero w lesie...

Nowy Rok miała spędzić dwadzieścia cztery godziny później wśród świętujących białych ludzi, tańcząc przy dźwiękach tassou i ragga. Dakar był przytłaczającym miastem, na swój sposób pięknym, na swój obrzydliwym. Przemierzała go przyklejona do pleców Pierre'a na pięknej, czarnej hondzie cbr, tłoczną arterią, pod wiaduktami, jadąc do portu, skąd wzięli prom na wyspę Goree. Przywitał ich Fort d'Estree z tuzinem gigantycznych czarnych armat wycelowanych dwieście lat temu w białe plamki wieżowców Dakar. Iluminacja sztucznych ogni i żywy ogień palony wprost na brukowanych dziedzińcach starej twierdzy, którą tej nocy opanował słodki i transowy rytm Senegalu, zapach marihuany i haszyszu, lepki amok białych ciał, dryfowały przez ocean jak Titanic. Co na to Standish?

Teraz jednak, po przebudzeniu w ostatnim dniu starego roku, starego życia Dunki, potykała się o najtrudniejsze chwile tej historii. Nic się nie dzieje. Zanim kolejna strona opowieści przewróci najprostsze ludzkie wyobrażenie o powinnościach życia, które się staje na nowo każdego dnia, które się odradza, które ci e b i e odradza, trzeba pomyśleć o myciu zębów bez szczoteczki, o upewnieniu się, że płacąc za noc tu spędzoną, schowało się tych pozostałych dwieście ileś euro inaczej niż chciała matka, do plecaka, i o tym, że warto skrócić na targ, który rozpościera się tuż przy bramie kempingu i rzeczywiście warto, za kilka euro cały kilogram mandarynek, tabliczka czekolady z orzechami i na śniadanie gorące placki wprost z rozgrzanej blachy. Dać się zaciągnąć Stefanowi i Pierre, parze przyjaciół czy kochanków przemierzających zachodnie wybrzeże motocyklami na zaśmieconą plażę, zbudować tam piaskowy meczet i w ten sposób spędzić czas do południa, zapominając, jaki był powód wdarcia się na ocean z piasku, a potem tu – ten z oceanu.

I wtedy ktoś powiedział, że w trzeciej godzinie dnia odjeżdża z Nouakchott najdłuższy pociąg świata – trzy lokomotywy, dwieście wagonów pełnych rudy żelaza i ludzi, którzy prą w kierunku stałego lądu. Pojechała tam motorem ze Stefanem, który chciał robić zdjęcia i obiecał, że jeszcze tego dnia będą razem w Dakarze na koncercie Cheikh Lo i Daara Ji w Maison des Esclaves, domu handlarzy niewolników.

Od razu zobaczyła dwie dziewczyny, które siedziały w pobliżu białego budynku na wpół realnej stacji, z torami znikąd donikąd, mknącymi po ho-

ryzont bez żadnej dodatkowej opcji. Rozmawiały po angielsku ściszymi głosami, ale Dunka słyszała dobrze imię jednej z nich. Stefan szwendał się z aparatem wśród ludzi przykucniętych na matach w oczekiwaniu pociągu. Dunka postanowiła zajrzeć do w pót otwartego budynku, gdzie sprzedawano drobne słodczyce, kanapki, gotowane jaja, tanie ozdoby i chusty. Wyszła stamtąd z włosami ukrytymi pod zieloną tarhą. Book zarzucił sieć i, potrząsając linami włosów, powtarzał imię „Kin-ga”. „Kin-ga? Ta, która marzy o białym wielbłądzie...”.

Godzinę do przyjazdu pociągu spędziła z nimi. Kinga miała w sobie coś ciekawego, coś, co też było ciekawością, co pytało innych ludzi – kim są, dlaczego są, po co, choć nie potrzebne były żadne odpowiedzi.

Siedziały z przyjaciółką wprost na piasku, bawiąc się w wymienianie tego, co najważniejsze w życiu. Kinga mówi:

- Wolność
  - Miłość
  - Współczucie
  - Piękno
  - Natura
  - Misterium,
- a potem jeszcze kilka innych rzeczy w przypadkowej kolejności:
- drzewa butelkowe
  - wielkie kamienie
  - tajemnice
  - ruiny dawnych cywilizacji
  - szczęśliwe dzieciństwo
  - szczęśliwe dzieci z mamami
  - oglądanie chmur z góry
  - wschody słońca na plaży
  - zachody słońca gdziekolwiek
  - droga w nieznanie
  - wodospady
  - gejzery
  - naturalne łuki
  - tęcze
  - rozbijanie namiotu w nieoczekiwanych miejscach
  - widok z namiotu o poranku
  - naturalny prysznic
  - kąpiele w gorących źródłach
  - rambutany
  - smocze owoce

- i w ogóle – wszystkie owoce!
  - no i, oczywiście, targi warzywno-owocowe
  - wegańskie sushi
  - domy z ozdobionymi ścianami
  - przypadkowe scenki uliczne
  - uliczne festiwale
  - taniec i radosne świętowanie
  - kolory tuż przed tropikalną burzą
  - i w ogóle – kolory
  - dać się ubrać w tradycyjne stroje
  - stare kobiety sprzedające kwiaty
  - zapach kadzidełek
  - mnichów w pomarańczowych szatach
  - chińskie świątynie
  - tajskie świątynie
  - buddyjskie klasztory
  - wielbłądy
  - młode kózki
  - szczególnie, kiedy spotkane podczas górskiej wędrówki
  - i wszystkie stworzenia małe i bezbronne
  - kocham wędrować z plecakiem
  - i jeździć na rowerze
  - pływać – nie tylko w jaskiniowych jeziorach
  - jeździć traktorami na stopa
  - pakistańskie autobusy
  - australijskie pociągi drogowe
  - latanie – szczególnie tuż ponad lodowcem
  - a lotnie – to jest to!
  - lubię siedzieć na przepaści
  - lubię niespodzianki
  - cienie
  - odbicie
  - i... och, tyle innych, wielkich i małych rzeczy...
- Wszystkie trzy śmieją się, a Kinga dodaje jeszcze po polsku:
- Najlepsze rzeczy w życiu są za darmo. Najlepsze rzeczy w życiu nie są wcale rzeczami.

Za chwilę najdłuższy pociąg świata zabierze ją w nową podróż. „Dasz radę... nie pękaj... w drogę...” – myśli się Dunce po prostu.

## Rozdział VI

Przez ten cały czas nie umiała go nazwać. Nawet w myślach nie nadała mu jeszcze imienia. Był kimś bardzo ważnym, całym tym pięknym obolałym światem, w którym krążyła od nie wiem, kiedy, nie wiem, ile minęło dni, tygodni, oj, mamó. Ale wciąż jeszcze nie znała jego imienia, a on nigdy nie wykonał najmniejszego gestu, który można by przełożyć na litery, dźwięki, znaczenia. Nie zrobił tego, ponieważ był niemową. Ścisłej rzecz ujmując, był człowiekiem bez języka. Nie od razu dokonała tego odkrycia. Stało się to dopiero, gdy któregoś dnia po raz pierwszy uśmiechnął się do niej tak szeroko, że jego wnętrze ukazało tę zaskakującą pustkę. To jednak przełamało coś w rodzaju hipokryzji, za którą skrywał do tej pory uśmiech i przyniosło ulgę im obojemu.

Uśmiechnął się na widok białej kobiety, która stała o własnych siłach, w smudze światła rysując zarys odsłoniętych piersi.

Jak długo musiał czekać, by to zobaczyć? Jak długo leżała na postaniu z koców w tym dziwnym, blaszanym schronieniu? Wszystko, co znała, nawet obraz samej siebie z wolna dopiero wyłaniał się z jej pamięci, o ile w ogóle potrafiłaby go przywołać z miejsca, które wciąż jeszcze przypominało bardziej nadmiernie wzdętą głowę kapusty niż jej własną, głowę tej dziewczyny, którą chyba jednak zapamiętała z jakiegoś zdjęcia.

I tak z dnia na dzień oddalała się od własnego ciała, własnej twarzy. Wołała patrzeć jak, mrużąc, bucząc, w końcu grzmiąc, wydobywał z siebie dźwięki podobne do kształtów, jakie przy pomocy dłut wydobywał z kłoców drewna. Dzień po dniu blaszany dom zapełniał się postaciami ludzi, wołami, gazelami, słoniami. W końcu wszyscy oni zaczęli żyć własnym życiem. Kobiety z długimi piersiami, stworzonymi, by karmić potomstwo, pilnowały stad nosorożców, a mężczyźni uzbrojeni w dzidy zaganiali żyrafy na sawannę. Trzeba było uważać, by w mroku kontenera nie zdeptać ledwie napoczętego życia któregoś z nich. Pracował bez wytchnienia, zapierając kawały drzewa o boscie stopy, potrafił tak przesiedzieć kilka godzin w ciągu dnia. Nie chciała wtedy, by on patrzył na nią, by szkliste kule jego oczu, w których mogłaby dojrzeć spierzchnięte zbocza gór Rwenzori, jakie chroniły ich tu z czterech stron w dolinie Bujuku (nie wiedziała jeszcze o ich istnieniu, nic nie wiedziała o Afryce) były jedynym lustrem kogoś, kto, tak jak ona, nosił na głowie kokon liści zagipsowanych masą z błota, popiołu i czegoś tam jeszcze. Ohydną szarą masą, jaką nakładał jej na głowę co kilka dni, delikatnie rozłamywał wyschnięty szkielet tego, co było przedtem.

Gdy w końcu zrozumiała, kim jest, gdy pomyślała o sobie „Dunka”, pragnęła

zobaczyć swoją twarz w jakimkolwiek odbiciu. Jednak tam, gdzie była, w śnie lub w filmie, lub w innym wymiarze po prostu, inaczej mówiąc – w kontenerze „waclaw” - nie używano luster. Woda, którą przynosił dla niej co rano, kiedy nie było jeszcze wielkiej wody z nieba, woda w plastikowej bańce była mętna i wypłowiwała, choć i tak nauczyła się z niej żyć, czerpać z niej wszystko, co woda może dać człowiekowi. Piła napar z brunatnej kory, cierniki i mdławy, którym poit ją wieczorami przed snem, dotykała jej, by nabrać krople wilgoci na spieczone ciało w porze dnia, gdy nawet dreptanie much po suchej skórze przynosiło ból.

Wtedy, gdy, uśmiechając się, po raz pierwszy delikatnie wziął ją za rękę i, prowadząc w kierunku oświetlonego złotym abażurem dnia, pozwolił zbliżyć się do progu nowego świata, zatrzymała ich nagle ściana, prawdziwa ściana wody. Pierwszy był jednak dźwięk, uroczyste fanfary tego widowiska. Jakby największy reżyser dał sygnał do eksplozji żywiołów, które miały przyprawić publiczność o zawrót głowy, zadziwić każde żywe stworzenie swoją mocą. Od tego dnia deszcz przychodził tu codziennie, z punktualnością zegarka, choć ona wcale tak nie myślała, nigdy nie miała myśleć tu o zegarkach. Czas sam się stawał, wciąż naznaczony tym samym rytmem, gdy wypełniali zamkniętą przestrzeń otwartym dźwiękiem.

Gigantyczny subwufier Sony przypominał archeologiczne znalezisko z prehistorii, z innej cywilizacji, a rytmy, które już kochała, mogłaby nawet tak pomyśleć – kocham te dźwięki – wypełniały przestrzeń dum dum du dum bębna, które odbijało się od serca, mu mu mum saksofonu, które dotykało skroni. A wszystko to przyprawione rwącą kaskadą wody, która z łoskotem biła swój rytm w blaszanym stropie kontenera. Poznała wtedy każdy milimetr tego dziwnego domu z blachy - dziewiętnaście kroków wzdłuż ściany, o którą on opierał swoje kawały drewna, jeszcze owłosione, dziewicze, potem osiem i pół kroku w głąb tego świata, gdzie mogła spotkać pająka, albo rzadziej uskrzydłonego nietoperza, ale bez tego nawet nie lubiła się zapuszczać w mrok, chociaż nagrodą był hamak i kartonowe pudło z cd, gdzie mieszkali Djoun, Fela Kuti, Benda Bilili, Edouard Masengo.

Na samym końcu, upchnięte w miejscu odosobnienia pozbawionym światła, znalazła pewnego dnia czarne pudło z saksofonem. Instrument był ciężki, zwalisty, chropowaty, jak wrak rybackiego kutra, i właśnie ta mizéria sprawiła, że Dunka zapragnęła go stamtąd wydostać na światło dnia. Nic poza tym. Żadna myśl w rodzaju „Saksofon? Co tu robi saksofon?”. Żadna ciekawość skrywanej tajemnicy tego instrumentu. Odruch litości, miłosierdzia. Schyliła się, by go wydostać, lecz w tym momencie czarna ręka złapała ją za nadgarstek z nieznaną dotychczas siłą. Zabolało. Podnosząc ze zdziwie-

niem wzrok, zobaczyła twarz bez uśmiechu, bez litości. Twarz rzeźbiarza przenikniętą cierpieniem. Wtedy wyobraziła sobie jego imię - „Onu”.

A więc to twoja historia, Onu, pomyślała, lecz ani tego dnia, ani długo potem nie miała jej jeszcze poznać. Stało się to dopiero po tym, jak ostatnich sześć baterii, które wyciągnął z pudełka po strzykawkach jednorazowych „Pep-ling”, w końcu zaczęło robić złą robotę, omijając dźwięki, wydłużać falę w niemożliwą do zaakceptowania kakofonię, a deszcz ustał. Patrząc na puste miejsce, gdzie z całej góry suchych placków, bananów, jajek została tylko paczka czarnej herbaty, wiedziała, że to wszystko zmieni.

Kilka dni później, gdy błoto na stokach Rwenzori przeschło, Onu wydobył spod góry koców, na których Dunka miała postanie (podczas gdy on spędzał noce na hamaku), duże jutowe worki. Załadował tam całą swą ludzko-zwierzęcą menażerię. Pora deszczowa jak więzienie zatrzaśniwała ich dotąd w obrębie kilkunastu kroków od kontenera, dokładnie tyle, ile potrzeba, aby zaspokoić fizjologię człowieka. Wtedy też odkryła na ścianie blaszaka wysmarowany niebieską farbą napis WACLAW. Jego sens na zawsze miał zostać przed nią ukryty, choć rozwiązywanie tej zagadki nawet ją bawiło, będąc powodem wymyślenia najdziwniejszych scenariuszy. „Waclaw” stał na niewielkiej polanie wyrąbanej zapewne ręką samego Onu w gęstwinie roślin tak monstualnych, jak komputerowe powiększenia z gry rpg. Włochate palce lobelli dorastały do sześciu metrów, olbrzymie krzyżowniki niczym łopaty przypominały po tysiącokrotnym pomniejszeniu polską babkę. Błoto gdzieniegdzie sięgało kolan. Duncę nigdy nie przyszło do głowy zapuszczać się w głąb tej gęstwy, przez którą z rzadka słońce sączyło światło, częściej deszcz. Tego dnia zdjął z jej głowy hełm i nie założył nowych kiści. Zamiast tego popatrzył tak, że wyszła za nim z kontenera.

Po kilkudziesięciu minutach wędrówki przez gąszcz dotarli na skraj świata, który zna tylko „Ten, do którego należą szczyty”. Przed ich oczyma rozpościerał się widok na gigantyczny skalny masyw Gór Księżycowych... Byli tysiące metrów nad ziemią! Dunka krzyknęła z zachwytu i grozy. A potem, już nie mogąc powstrzymać wzburzenia, że tajemnica tak długo skrywana przed nią, zadziwienia, że góry spowite mgłą, radości, że puls życia czuje w każdej części ciała, tęsknoty, by ktoś poza nią samą poczuł jak chwila ta burzy obraz pustki, wybuchła:

- ...nie wierzę własnym oczom... oszaleję... gdzie my jesteśmy...? Onu... gdzie ja jestem... co ja tu robię... Onu... odpowiedz natychmiast... powiedz...

Natura wiedziała jednak, że Onu nie odpowie. Dlatego Ziemia i Niebo przyszły im z pomocą. Zastona mgły na krótko rozpadła się przed ich oc-

zyma, a wtedy ujrzeli ośnieżone szczyty gór, obrysowane konturem nieba. Pejzaż tak czysty, że trudno było przerwać milczenie. Stali tam godzinę, dwie, aż gęste chmury opadły znowu z dachu nieba. Spektakl skończony?

Nie jeszcze... Droga powrotna do kontenera wiodła tym razem przez bagno. Sobie tylko znanym sposobem Onu potrafił w tym grzęzawisku znaleźć grunt na tyle twardy, by, posuwając się powoli, mogli dotrzeć na skraj urwiska. Dunka maszerowała w czymś na kształt gumowych sandałów, wyrzniętych z opony samochodowej, przyplecionych do stóp rzemieniami. Dzieło godne Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. Gdy stanęli nad przepaścią, w pierwszej chwili Dunka nie mogła pojąć znaczenia tego widoku. Dopiero po chwili dostrzegła i rozpoznała na dnie urwiska, jakieś trzysta metrów poniżej, ogon samolotu wbity pomiędzy skały jak dziecięca zabawka. Na wprost widocznej burcie kadłuba widać jeszcze było zarys konika szachowego. Wypalone szczątki porozrzucane w promieniu kilkudziesięciu metrów wyglądały jak pogniecione papierki po słodyczach. Zamknęła pod powiekami blask płomieni, który ją dotknął, w tej samej chwili parząc mózg.

Wracała do „wacława” zamknięta i zmarznięta. Następnego dnia, jeszcze w półmroku świtu, dojrzała sylwetkę Onu z dwoma workami uwiązanymi do pleców. Została sama. A teraz właśnie słońce dawno minęło strzałę zenitu. Dunka siedziała pod wielkim liściem na czymś, co kilka dni temu Onu wystrugał z poplątanych konarów i postawił u jej stóp. Był to maleńki taborecik. Najwygodniejszy miniaturowy tron dla najmniej wytwornej księżniczki na świecie. Włosy w fatalnym stanie, popstrzone zeschniętym błotem. Do tego spodnie Onu związane grubym sznurem i jego brudny tiszert. W całym kontenerze nic, co mogłoby nadać się do ubrania poza zieloną arabską chustą. To chyba cały stan posiadania. No, i drewniana tarcza uwiązana na szyi do linki wiatrowej...

Po godzinie z umyтыми w błotnistej wodzie włosami, które związała chustą, zrzuciwszy spodnie Onu, obejrzała dokładnie skórę na udach, brzuchu, pośladkach. Miejsca najbardziej poparzone. Do tej chwili bała się tego widoku. Teraz jednak zaskoczył ją przyjemnie i nastroił do dalszych badań nad fizjologią. Onu dokonał cudów przy pomocy swojej medycyny. Blizny wyglądały całkiem dobrze, białe i momentami nawet niewidoczne. Można już było nie tylko na nie spojrzeć – ale też dać je do oglądania innym oczom. Lecz zebrać myśli, zebrać niepozbierane kawałki, żeby zobaczyć samą siebie na tym pieprzonym lotnisku! To wymagało wciąż odwagi.

Elegancki, nowoczesny budynek, ludzie biali, czarni i złoci, kobiety w ekstrawagancko kolorowych batikowych zwojach, strażnicy w mundurach i z

bronią, a Jean Claude okazał się wysokim blondynem w błękitnej koszuli i diamentowych spinkach. Siedział w jednym z pokoi biurowych, do których udało się w końcu Duncce dotrzeć po godzinie błądzenia i dopytywania. Jean Blondyn niezbyt zachwycony. Po prostu odpychający. W końcu zrobił pomietą, papierową kulkę z listu od brata i palcem pokazał na wielki plakat za plecami:

- Musisz dojść do końca lotniska. Samolot znajdziesz za hangarami. Z takim logo. Szukaj takiego konia...

„To chyba konik szachowy”, pomyślała Dunka na widok niebieskawego stwora opartego kopytami o jakiś napis.

Samolot okazał się Anem 28, ale to Duncce nic nie mówiło... W oszklonej kabynie nie widać było nikogo. Wrota ładowni z tyłu kadłuba były otwarte, więc mogła dojrzeć równe rzędy małych kontenerów czy skrzyń podobnych do tych, jakie widziała kiedyś na kutrze, płynąc ze Standishem. To nie jest kino, pomyślała jednak zaraz, to nie są karabiny, to coś innego – urządzenia, maszyny, leki chyba nie, bo leki nie są takie czarne. Wchodzę...

Weszła po pochyłym trapie od rufy i przysiadła w rogu, czekając na kogoś, kto miał się nazywać „Jacco”. „Jacco – miała mu powiedzieć – Jean Claude sends me, I'm going with you to Chartum”.

Ale Jacco, a nie był to Jacco, miał twarz mordercy. Suchy, wysoki ponad miarę, z ogoloną głową, z tak podkrążonymi oczyma, że dałaby mu nie więcej niż kilka godzin życia. Serce, wątroba, wszystko – w rozwałce, tak wyglądał wuj, brat matki, który umarł na raka. Monster. I jeszcze dwóch innych ludzi. Kłapa tylnego włazu zasunęła się natychmiast. Działo się to zbyt szybko, by mogła wstać i powiedzieć swoje „Jean Claude sends me, I'm going with you to Chartum”.

Oderwali się od ziemi niemal w miejscu, kiedy monster wwiercił jej sine światło latarki prosto w mózg i zawył.

- What the fuck are you doing here?

- Jacco...?

- Jacco?! Kto cię tu przystał?

- Jean Claude.

- ...! Jean Claude?! ...prędzej by mu pękły jaja! - ryk potwora zagłuszył na długą chwilę ryk silnika. - Brian, podprowadź mi tu naszego gościa.

Brian – lepki grubas w baseballowej czapce – miał tapy jak obcęgi. Po raz pierwszy wtedy bolało.

- Kogo my tutaj mamy? - Jacco, choć nie jest to Jacco, zaświecił tak blisko źrenic, że aż oczy wypadły z czaszki.

Onu znalazł ją skuloną na postaniu z koców. Trzęsa się z zimna. Trzęsa się z przerażenia. Dopiero ucza, którą rozpostarł przed nią na kawałku czystego płótna – białe mięso kurczaka, owoce mango, słodkie banany, zielona herbatka – obudziły zmysł życia, a światło świecy dopaliło marzenia...

- Onu, możesz tu ze mną zostać. Nie idź do hamaka... - powiedziała na głos po polsku.

Nie mógł wiedzieć, co mówi do niego biała kobieta w zielonej chuście, ale mógł zrozumieć, że, tak jak on, pragnie ciepłego ciała, wilgotnej, bezpiecznej muszli, w której zamknie swój świat, zatrzaśnie wieko wspomnień.

Nawykłe do mocnych ciosów ręce rzeźbiarza dostały tej nocy w nagrodę tworzywo miękkie i lekkie jak mgła nad jeziorem Bujuku. Mógł i potrafił ulepić z nich rozkosz w jednej chwili, jednak uczynił z tej ceremonii święty rytuał miłości. Jego dłuto niespiesznie pozbawiało ciało kobiety nadmiaru myśli i słów, współczucia, poczucia winy, zostawiając jedynie zapach skóry, smak i oddech dojrzałego owocu, który oddaje się przeznaczonym sobie ustom.

W ten sposób wyprowadził ją przy świetle świecy z mroku, pokazał ścieżkę, po której gazele stąpają świtem do wodopoju. W świetle pełnym lampartów, lwów, szakali, silnych lub pozbawionych litości, głodnych lub nienażartych, napoił wystraszone ciało, ukoił złężnione serce kobiety i nakarmił miłością.

Poranek ten nazwać trzeba najpiękniejszym i najtrudniejszym doświadczeniem w życiu Dunki. Jeśli po przebudzeniu miała przez mgnienie oka uczucie wstydu czy obcości, wzrok Onu, jak nigdy przedtem, pełen był słów i znaczeń. Kocham cię, jesteś piękna, jestem szczęśliwy, że dałaś mi swoje ciało, nie lękaj się, jestem przy tobie, żeby cię bronić... mówiły jego oczy.

I niespodzianka – worek jutowy załadowany nowiutkimi ciuchami. Płócienne spodnie, bawełniana koszula, sporo za duże krótkie gumowe buty trekkingowe oraz... sukienka w maleńkie kwiaty, angielska sukienka w stylu kolonialnym, jak z bajki. Wszystko to zdobyły dla niej czarne słonie, żyrafy, cała wioska mężczyzn i kobiet. Rzuciła mu się na szyję, a zaraz potem zjadła go na śniadanie.

Lecz był i rykoszet. Onu kazał zbierać się do drogi. Czekali ich dziesięć godzin ciężkiego marszu, do pokonania prawie trzy i pół tysiąca metrów w dół, z nieba do ziemi, wpierw granitowe turnie, strzeliste zakosy skał, potem gęsty, dziewiczy las, pokłady gęstego błota, i nagle oddech, plantacje bananów, fasoli, kawy, łagodne przeistoczenie najdzikszych gór w spiżarnię. Onu wybrał do zejścia dłuższą trasę, omijając chaty pełne spragnionych

dzikości turystów, których widywali nie jeden raz z oddali, podążających w przeciwnym kierunku, w pasma wysokich gór. Mijali także strumienie, rwące potoki, małe i duże wodospady. Dunka niosła już taki ciężar tej wędrówki, że mogłaby bez czucia zalec na dnie któregoś z nich, gdyby nie Onu, który wyciągał rękę i wtedy szła przed siebie dalej.

Zmierzch, jak zawsze w Afryce, nadszedł tak nagle, że nie zdążyła zauważyć zmiany pejzażu. Jedyne pod stopami poczuła twardą, zbitą ziemię sawanny. Ostatnie pół godziny marszu było wyzwaniem ponad siły, jednak jakimś cudem dotrwała do tej chwili, gdy z naprzeciwka zatrzymał ich głos człowieka:

- Karibu Bizimungu, Karibuni Wote.

Spała dwanaście godzin. Obudziły ją dopiero dzieci, które od długiego czasu przyglądały się białej kobiecie przez szpary w chacie. Szelest ich roześmianych głosów powoli docierał do świadomości Dunki jak ostre światło, które wpełzło na czoło.

Wyszła przed chatę i zaraz potem jakaś kobieta podała jej miskę fufu, gotowanej szarej mąki, polanej warzywnym sosem, najlepszym, jaki można tu było sprawić dla gościa. Nigdzie nie widziała Onu. Zamiast niego przed chatą, gdzie siedziała na macie, maczając palce w gęstej masie, zbierał się tłum kobiet obserwujących bez najmniejszej żenady zmagania Dunki z ciekącym sosem. W końcu, gdy dno miski nie pozostawiało wątpliwości, że to już koniec uczyty, jedna z kobiet podeszła bliżej i dotknęła włosów Dunki.

- Jina lako nani...?

- Nie wiem, co mówisz...

- Jina lako nani...? - pokazała palcem na siebie – Jina langu ni Mapendo, Jina langu ni Mapendo.

- Aha... Dunka... I am Dunka.

- Dunka...?

Kobiety kiwały głową z aprobatą, nie szczędząc uśmiechów... „Du-Nka... Du-Nka...”

- Tutuonana unakwenda wapi? Unaishi wapi? Du Nka? Du Nka?

- Poland. I'm from Po – land.

- Po-Land? - słowo to wywołało ogólne poruszenie.

- Habari gani Po Land...

W tej chwili tłum kobiet rozstąpił się przed bardzo siwym mężczyzną w granatowym, lśniącem fraku i sztuczkowych spodniach. Stopy miał bosc, czarne i skręcone jak konar baobaba.

- We are happy to see you, Miss...

Tak uroczyście przybrany wódz wioski zaczął nazywać się Karol.

Dunka siedziała teraz w wygodnym płóciennym fotelu pamiętającym jeszcze protektorat brytyjski, popijając czarną herbatę z żelaznego imbryka, który co jakiś czas piękna młoda dziewczyna, jedna z żon Karola, zalewała wrzątkiem. Po siódmym parzeniu, liście herbaty nie zabarwiały wody nawet na kolor słomki. Onu zachował dystans, zajmując miejsce nieco z boku, po przeciwnej stronie, tuż obok wodza, który z życzliwością wypytywał Dunkę staromodną angielszczyzną o powody, dla których wybrała się w te odległe rejony Ugandy.

Cel podróży samej Duncy wydał się teraz mglisty i mało realny. Serafina Nialod – słowa dobrze zapamiętane, straciły znaczenie. W końcu jednak przed oczyma Dunki rozpostarto mapę.

- Jesteśmy tutaj, Miss Dunka. Sudan jest niedaleko. Ale nie powinnaś tam jechać, Miss Dunka... To nie jest bezpieczne. Tam jest śmierć.

Spojrzała pytająco na Onu. Sytuacja stawała się rozpaczliwa bardziej tu, na progu cywilizacji, niż w kontenerze zrzuconym niegdyś z szarego, zamglo-nego nieba w wysokich górach Rwenzori. Siedziała w starym myśliwskim krześle, w trójkącie jezior lake Albert, lake Edward, lake Victoria. Z mapy wynikało, że dzień drogi pieszo dzieli ją od Fort Portal, dużego miasta, gdzie jednak nie wystarczy powtarzać „I'm Dunka”. Bez dokumentów, pieniędzy, jakichkolwiek osobistych bagaży, była na dnie, w tłumie nędzy.

Onu zrozumiał to pytanie, wiedział, że musi dać odpowiedź. Spojrzał na Karola i skinął głową, jakby potwierdzał jakieś wcześniejsze ustalenia.

- Bizimungu chce, żebyś pojechała do Fort Portal. Tam jest misjonarz. Jest naszym ojcem. Baba jest naszym bratem. On pomoże ci się stąd wydostać.

- Bizimungu?

Stary Karol pokiwał głową:

- Bizimungu to jest mój syn, Bizimungu.

Dunka i Onu spojrzeli na siebie tak, jak to dzieje się po raz pierwszy. Z uwagą. Zobaczyła jego skórę zdjętą ze stworzeń, które rzeźbił, czarną i lśniąca, włosy skręcone i długie, o wiele dłuższe niż u innych mężczyzn w wiosce, opadające niemal na ramiona. Miał na sobie jasną koszulę z podwiniętymi rękawami, spod których wybiegały jak autostrady pasma mięśni. Był pięknym mężczyzną i... nie nazywał się Onu.

- Bizimungu... skąd ten saksofon?

Pytanie, które zadała tak nagle, bo rozumiała, że przez cały ten czas, tam, w górach, mogła rozmawiać z nim po angielsku, mogła dostać od niego więcej, o wiele więcej niż jedną noc spędzoną razem.

Po ciszy, która zapadła pomiędzy trojgiem ludzi, Onu przystąpił dłońmi

oczy, po czym tchnął nimi swego ducha w kierunku Dunki, jak przestany z dała pocatunek. Siwy Karol przemówił w jego imieniu:

- Bizimungu znaczy w naszym języku „Bóg jest tym, który wie”. Bizimungu jest moim najstarszym synem, pewnego dnia miał zasiąść na moim miejscu. Ale on chciał wyruszyć do miasta, by tam chwalić Pana muzyką. Bizimungu kocha muzykę, a muzyka kocha jego. A ja kocham mojego syna, więc wyprawilem go w tę podróż. W Kampali kupił ten blaszany duży flet i stamtąd wyruszył do Lagos. On dużo grał i poznał tam wielu ludzi. Ale w Afryce nie wszyscy ludzie są dobrzy. Są źli czarni ludzie, mbaya, mbaya. Bizimungu widział rzeczy, których nie powinien widzieć żaden człowiek, ani biały, ani czarny. On był kamonyi, świadek, jak zabijano małe dzieci. Ucinano im głowy – o tak... Oni robili z tych małych głów leki, niedobre lelo dla chorych kobiet. Bizimungu chciał ratować dzieci, ale zły Nigeryjczyk wydał go i Bizimungu miał mieć uciętą głowę. Najpierw ucięli mojemu synowi język. O, tak... On uciekł i po wielu tygodniach wrócił do swojej wioski. Nie poznałem mojego syna, był jak obcy. Odszedł w góry i nie widziałem go do wczoraj, kiedy wrócił tu z tobą, Miss. Wiem, że ty jesteś jego Kat, ukochana, ale to nie jest dobre dla białej kobiety. Musisz odejść. Bizimungu też tego chce.

Znowu cisza. Inna żona podeszła, by dolać wrzątku do liści. Woda jest tylko wodą, niczym więcej, niczym mniej... „Bizimungu też tego chce... ma rację... jak to było...? Bóg jest tym, który wie...”.

- Czy on znalazł mnie w górach? Czy samolot miał wypadek?

- Tak, Miss Dunka, Bizimungu znalazł cię przy samolocie. Tylko ty przeżyłaś.

- Jaki jest dzisiaj dzień?

- Jumaa, piątek.

- Ale miesiąc, jaka data?!

- Wy mówicie marzec... dla nas to bez znaczenia...

„M a r z e c?!”.

Siwy Karol wyciągnął zza poły fraka komórkę Nokia i wykonał telefon do brata Sauliusa.

## Rozdział VII

*Tata bwa biso ozali o likolo  
Batu bakumisa nkombo na Yo  
bandima bokonzi bwa Yo  
Mpo elingi Yo  
basala yango O nse  
Lokola bakosalaka O likolo  
Pesa biso lelo bilei Iya mokolo na  
mokolo  
Limbisa mabe ma biso lokola biso  
tokolimbisaka baninga  
tondima masenginya te  
Limbisa biso Iya mabe manso  
Amen*

Wszystkie kobiety i dzieci, wszyscy mężczyźni z wioski zeszli się, by powitać Baba Sauliusa. Ten spory tłum stanął w kręgu i, kołyszając biodrami, zaintonował „Ojciec Nasz” w języku lingala, tak jak go tego nauczyli ich biali ojcowie. Chór śpiewał tę modlitwę niczym orkiestra filharmoniczna – powtarzając przepisane dźwięki, choć język lingala nie był tu nikomu znany. Jednak wszyscy prosili o to samo – chleb życia i pokój miłości.

Ojciec Sauliusu górował nad niewysokim ludem co najmniej o głowę, więc musiał wysoko podnosić dzieci, które wspinały się na niego z ufnością i nadzieją na słodkie nagrody. Cukierki zniknęły szybko. Został rower, który Saulius uroczyście zdjął z budy pickupa. Wszystkim zaparło dech w piersiach na widok pięknej, nowiutkiej maszyny ze świecą ramą i napisem „Peugeot”. Nastąpiła cisza. Saulius podprowadził peugeota do wodza:

- Karibu, habari kani?

- Asante, Baba, njema, njema, asante sana.

Siwy Karol patrzył na rower z godnością i dystansem, po czym odwrócił się, by wzrokiem poszukać Bizimungu. Onu stał z boku, podobnie jak Dunka. Jednak tych dwoje nie zbliżyło się do siebie niczym spiskujący outsiderzy tej sytuacji, wręcz przeciwnie, stali po przeciwnych stronach tłumy. Wszyscy trwali w milczeniu, czekając na wynik zmagania starego wodza z najstarszym synem. Wzrok siwego Karola przebijał serce Bizimungu, wyrwał z niego upór i rozpacz buntownika, nakazywał powrót do świata żywych ludzi. Saulius bezbłędnie wyczuł to ich zmaganie, bo także stał bez słowa, czekając. I wtedy Bizimungu ruszył w stronę ojca. Ludzie rozstąpili się i nagle Onu szedł już w szpalerze swoich poddanych, mężczyzn i kobiet z pięknego ludu Luo.

Woda jest tylko wodą, płynie tam, gdzie pozwoli jej morze – Bizimungu wziął rower z rąk Sauliusa i popłynął. Po trzech kórkach powrócił do domu...

Dunka żegnała go, patrząc jak z mężczyzny, którego pragnęła uwieść do swego świata, stawał się czarnym człowiekiem na ziemi przodków, kimś zupełnie innym niż ona sama. Dzięki temu żadne spojrzenie, które mieli wymienić w chwili odjazdu szarego pickupa z wioski, nie bolało. Spojrzenia były tylko listami. „Zawsze będziesz w moim sercu. Zawsze będę cię pamiętała”. Zatęskniła za kimś, kto powiedziałby jej: „Cześć, Dunka. Fajnie, że jesteś”. Zatęskniła za Standishem.

A Saulius? Człowiek słońce. Energia życiodajna. Wilnianin.

- Nazywają mnie ojciec Saulius. Ojca możesz sobie darować, dziecko moje.

- Oj, nie! Przyda mi się ojciec...

Śmieją się obydwoje. Takiego człowieka trudno nie spytać wprost:

- Ojciec Sauliusie... jestem sama, a czuję stałą obecność kogoś, kto daje mi wsparcie... Kto to jest?

Saulius roześmiał się znowu, a głos miał donośny:

- Ty – Polka. Chrzczona?

- Chrzczona.

- A do kościoła chodzisz?

- ...nie za często, właściwie w ogóle nie.

- Znakiem tego – droga twoja pokręcona. Ale ona zawsze prowadzi, czy ty sobie chcesz tego, czy nie – od Boga do Boga. Od życia po śmierć. A wszystko, co tam w środku to film, w którym i ty grasz swoją rolę. Grasz jak potrafisz, jak ciebie nauczyła matka. Nie pytaj – dlaczego, po co. Reżyser wie. On ma swoje myślenie. U nas, w Wilnie jest Matka Ostrobramska, do niej przychodzisz nie żeby prosić, ale by dziękować. Każdego dnia dziękuj i nie proś o więcej....

Budynek misji, wybudowany kilka lat wcześniej na obrzeżach miasta, w pobliżu skleconych z gliny, słomy i liści chat, był jak hotel Hilton. Obudziła się w innym świecie, w czystej, chrupiącej pościeli, w pokoju z szafą, stołem i krzesłem. Na korytarzu zaskoczyła ją mała czarna dziewczynka, która podbiegła do Dunki z żółtym kwiatem, po czym pędem rzuciła się do ucieczki w głąb korytarza.

- Więc czego ci potrzeba, dziecko? - spytał poważnie Saulius, gdy w końcu skończył zajęcia księgowo w swojej kancelarii.

Siedzieli w pokoju wypełnionym papierami. Na ścianie wisiał kalendarz z czerwonym kwadratem nasuniętym na datę 31 marca. Na biurku byczył ekran komputera.

- Czy mogę wejść do internetu? – rzuciła bez namysłu Dunka, choć była to raczej desperacja z braku lepszego pomysłu.

- Siadaj!

Weszła do swojej skrzynki. Kilkaset maili, głównie spamy. Dramatyczne listy od siostry:

„Odezwij się !”

„Poszukiwana !”

Listy od przyjaciół:

„Dunka – jeśli żyjesz, daj znać !”

Listy od Standisha:

„I'm highly concerned about you!”

Świat, o którym zapomniała, istniał. Ale też trudno było złapać jakąkolwiek frazę porozumienia. Co napisać? Chyba tylko „jestem”, „żyję”, „daję radę”.

„Kochana Mamo, i Flora, i Wszyscy! Jambo! Wybaczcie mi, ale tu jest bardzo słabo z internetem, dlatego tak długo nie pisałam. Jestem na zachodnim wybrzeżu Afryki, blisko Kenii. Wkrótce podejmę pracę u nowego armatora. Afryka jest piękna. Dużo pada, ale też bardzo gorąco. Jestem zdrowa. W tej chwili siedzę w pokoju ojca Sauliusa, misjonarza. On jest Litwinem z Wilna i mówi po polsku. Zjadłam wielkie śniadanie i czuję się doskonale. Nie martwcie się o mnie, kiedy nie piszę. Być może znowu nie będzie okazji. Kocham was. Dunka”.

Pach, pach pach. Forward to everybody.

A teraz flashback o imieniu Kinga. Jak to było? Kingafreespirit.pl. Piątego marca Kinga na białym wielbłądzie przemierza bezdroża na pograniczu Burina Faso i Nigru, śpiewając:

Tuareg na motorze

w zwiewnej szacie w kolorze

tak niebieskim jak niebo Burkiny

mija nas pozdrawiając

i Allaha wzywając

a obok przechodzą dziewczyny

z ozdobami w warkoczach

błyskiem uśmiechu w oczach

balansując na głowie wodę

co przynoszą ze studni

każda się tym tu trudni

a na plecach niemowlę młode

Tika kroczy niespiesznie

strzygąc uchem pociesznie

szybkie tempo Tice nie w smak

nigeryjskie przestrzenie

Tika kocha szalenie

Tika uj, Tika uj, Tika tak

„Kinga! Śpiewasz tak pięknie! Jeśli ty potrafisz, ja też dam radę”.  
- Ojcie Sauliusie! Czy mogłabym skorzystać z drukarki?  
Zdjęcie Serafiny Nialod po raz kolejny wyciągnięte ze skrzynki mailowej – nikły ślad w pamięci zapisany.  
- Kto to jest, moje dziecko? - pyta Saulius.  
Dunka pokazała mu drewnianą tarczę zawieszoną na lince wiatrowej.  
- Widzę, że ty jednak chrześcijanka. I to stara! - zaśmiał się swoim sposobem, mocno dmuchając przez nos – Wiesz ty, co to za krzyż? To Hawaria.  
- Jak się nazywa?  
- Hawaria. To po amharsku. Znaczą „ewangelista”. Niby, że takie krzyże noszą ci, którzy przychodzą, żeby nauczać Ewangelii. Skądże ty go masz?  
I wtedy znowu ta sama historia, opowiedziana jednak inaczej, bo taki kuter, który przecina dziobem taflę głowy, nabiera mocy i pędu, obrasta glonem, wypełnia swoje sieci, gorzej, gdy nie wypełnia, wtedy wróciłby do portu z niczym. Port szczęściem jeszcze daleko.  
- Tak bardzo mi żal, ojcie Saulusie, tak bardzo mi żal! Tych ludzi ze „Sierry”, Serafiny i jej dziecka, biedaków, których widziałam w Darfurze! I tego, co tu widzę, tej nędzy, tego opuszczenia... Czemu tak to wygląda? Czemu świat kręci się wokół śmierci i wojen?  
Saulius kiwnął w zadumie głową:  
- Niektórzy mówią, że wokół pieniędzy... Ale nie trzeba myśleć źle o tym, co stworzył Pan. Nie trzeba myśleć zbyt wiele. Tylko kochać trzeba. No i czasem się pomodlić... - groźnie pokijał palcem, a potem znowu w śmiech.  
W tym momencie telefon. Saulius gwałtownie zmienił się na twarzy i wykrzykiwał po angielsku:  
- O Najświętsza Panienco! Ale czy żyjecie?!  
Wypadł z kancelarii i po chwili cały budynek misji jakby podniósł się z letargu, na korytarzu pojawiła się siostra w szarym fartuchu, kilkanaścioro dzieci potruchtowało w tę i z powrotem, czepiając się tego fartucha jak pokładowej liny, w obawie, by huragan nie zwiął któregoś z nich w otchłań.  
  
Zarządzono chyba modlitwę w otwartej kaplicy na dziedzińcu, bo Saulius w białej komży stanął przy drewnianym stole pod zadaszeniem z palmowych liści. Wkrótce zebrał się spory tłum. Przez dłuższą chwilę Dunka obserwowała to poruszenie z okien budynku, jednak nie sposób było tu zostać. Gdy się zbliżyła, oni już skandowali:

Salamu Maria Umejaa  
Neema bwana Yu  
Nawe umebarikiwa  
Kuliko wanawake wote na Jesu  
Mzao wa tumbo lako amebarikiwa

Maria Mtakatifu Mama wa Mungu  
Utuomebee sisi wakose fu sasa  
Na saa Ya kufa kwetu  
Amiina

El rosario – sto pięćdziesiąt razy.  
Podczas lunchu, gdy razem z dziećmi jedli mięso z matoke, ugotowaną masą zielonych bananów, popijając to wszystko liśćmi herbaty zalanyymi gorącym mlekiem, wysłuchała relacji Sauliusa z wydarzeń w Duru, na granicy z Sudanem, już po kongijskiej stronie. Jeszcze nie nadszedł świt jak kilkunastu Ugandyjczyków z LRA, Lords Resistance Army, co miało się tłumaczyć Armia Oporu Pana, Boże uchronij przed taką armią, zaatakowało misję kombonianów, porywając jednego z księży, Hiszpana. Dzieci i zakonnice rozproszone, dom misji splądrowany, sprzęt, radiodbiorniki, telefon satelitarny – zniszczone. Dzięki Najświętszej Paniencie nikt nie zginął, a ksiądz Hiszpan wrócił po kilku godzinach do misji, wystraszony, lecz w Męce Pańskiej...  
- I tak, widzisz, żyjemy tu każdego dnia. A potrzeby ogromne. A rąk do pracy nie ma. Czy wiesz, młoda kobieto, że tu w każdej minucie umiera dziecko na malarię? Osiemdziesiąt na sto nigdy nie spotka medyka. Głód tak wielki, że matki przeklinają swoje dzieci, bo rodzi, a już musi myśleć, jak będzie je chować. To, czego nie dokona głód, choroba i nędza zrobią partyzanci, pożałuj Boże, mordercy, zbrodniarze. Torturami i gwałtem zmuszają dzieci do tego, by służyły im jako mięso armatnie. Dwunastolatki noszą karabiny i z zimną krwią mordują starszych od siebie, bywa, że i napadają na własne rodziny, plądrują własne wioski. Przeżyliśmy Sowietów, przeżyliśmy Hitlera, ale czegoś takiego nasze oczy nie widziały.

Mięso z matoke miało smak rozgotowanego buraka. Duncie zrobiło się niedobrze. Mała dziewczynka, ta od żółtego kwiatu, podeszła do miejsca, w którym siedzieli z ojcem Sauliusem i pogłaskała hebanową rączką kolorowe plamki na rayonowej sukience. Wąchała je jak łąkę.

„Muszę znaleźć jakąś robotę...” - pomyślała Dunka w nocy, budząc się wiele razy z lęku przed owadami. Siostra, Włoszka, Antonella, kazała wieczorem opryskać ciało repelentem DEET, tłumacząc przy tym wesołą i śpiewną angielszczyzną, że jeden procent wszystkich ukąszeń kończy się śmiercią. Godzina za godziną mija na wsłuchiwanie się w ciszę, z której mógłby nadlecieć moskit z zarodkiem falciparum i uderzyć nosem w oczka moskitiery. Przyleciałby jednak bezgłośnie, zwabiony porą nocy, między zmierzchem a świtem, w ciemności szukając oparów dwutlenku węgla. Zwiertzyłby twoje ciało z kilkuset metrów. Ukąszenie samicy, jeśli masz szczęście, wszczepi ci pasożyta vivax albo ovale, który rozmnoży się w wątrobie, dając gorączkę i niedokrwistość. Jeśli masz szczęście być Muzungu, dostaniesz pewnie

chlorochinę i będziesz żyć. Lecz falciparum to pocałunek śmierci. Po dwóch tygodniach gorączki, słabnąc, stracisz przytomność. To się nazywa malaria mózgowia. Mbaya, mbaya, byłoby z tobą bardzo źle.

Teraz jednak Furaha Ya siku Ya kuza Liwa! Happy Birthday to Dunka! Pierwszy kwietnia i dwadzieścia dwa lata. Najbardziej uroczystą chwilą tego dnia było rozstanie z Saulusem, który miał wyjechać do Duru załadowanym po brzegi pickupem. Były cztery krzesła, stary magnetofon, paczki i plastikowe kontenery, kosze kukurydzy i dar serca, ostatni rower, tak potrzebny na misji...

- Daj Boże, zdobędziemy kiedyś nowy... - mruzczał Saulus pod nosem. - Zostaniesz do mojego powrotu, dziecko? - Dunka stała w tłumie, który zebrał się wokół pickupa, by go pożegnać. Ludzie głośno komentowali ładunek. Jakaś kobieta wciskała jeszcze kilka owoców papaya. Każdy chciał coś dać. Niewielu miało cokolwiek.

- Zostaniesz do mego powrotu? Antonella potrzebuje pomocy.

Popołudnie spędzone pod tym samym liściastym dachem, przy tym samym stole, za którym Saulus odprawiał mszę. Wśród białych ludzi nawet najprostsze rzeczy wydawały się skomplikowane. Tu nie. Dzieciaki otoczyły stół i, beztępo wyczuwając treść Dunki, kontemplowały lokomotywę, potem kuter rybacki, potem wielki żaglowy statek i jeszcze psa, wilczurę, którego namalowała kolorowymi kredkami carand'ache, delikatnie mocząc ich czubki w naczyniu z wodą, jak kazała Antonella. Musiała to zrobić dwadzieścia razy – dla każdego osobna karteczka.

- Teacher! Teacher! – wołały dzieci, pokazując sobie dwadzieścia psów.

Upał spowalniał w żyłach krew i zatrzymywał w letargu fale dźwiękowe. Więc skąd ten hałas?

Na dziedzińcu wtoczył się hipopotam lub nosorożec, lub jak, kto woli – stary, ogromny, pogięty, naznaczony z każdej możliwej strony historią, rosyjski żółtacz. Za kierownicą siedział biały człowiek w czerwonej baseballowej czapce i z dopalonym cygarem w zębach. Stiepan.

- Stiepan? Come stai, Stiepan? - zawołała do niego po włosku Antonella, przysłaniając słońce wpadające w oczy drobną ręką.

Stiepan wyskoczył uśmiechnięty i cały mokry od potu z budy zifa, zaniósł się ryczącym śmiechem.

- Antonella! Wy oczien priekrasna kak wsiegda!

Wszyscy – dzieci, dorosłe kobiety, kilku czarnych mężczyzn, nawet Dunka – patrzyli na tych dwoje i przysłuchiwali się wymianie niewinnych czułości, jak w kinie samochodowym. Okazało się, że na budzie zifa też byli ludzie.

Dwie kobiety, troje dzieci, nieprzytomny mężczyzna. Cały ten ludzki towar Stiepan zdjął z zifa jak brykiety. Spieszył się, by ogarnąć Antonellę wielkim ramieniem i dać się zaprosić na lunch. Nie dało rady. Trzeba było najpierw wylęknione spojrzenia ludzi ukoić, podać wodę, trzeba było przenieść nieprzytomnego mężczyznę do budynku i podłączyć pod kroplówkę, trzeba było oswoić wylęknione dzieci, które ściskają w panicznym strachu wychudzone ramiona kobiet.

Antonella – spokojna i uniesiona pięć centymetrów nad ziemią.

- Mężczyzna ma malarię, a kobiety i dzieci wirusa hiv. Wiesz, co to jest? Jedna z nich wkrótce umrze. Nikt nigdy jej nie leczył. Tu co trzeci człowiek ma hiv. Zwłaszcza kobiety i dzieci. Są niedożywieni i opuszczeni. A Stiepan pracuje w Ugandzie, nie pytamy, co robi, skąd pochodzi. Tu ludzie robią różne rzeczy – dobrze, że jest. Podobno znalazł całą rodzinę w opuszczonej wiosce na południu, chciało mu się ich taki kawał wieść. Dobry człowiek, good man – tłumaczyła Duncę już w nocy, po odjeździe Stiepana, który nareperował duży, staromodny telewizor zajmujący miejsce centralne na stołówce, tuż pod krzyżem. - Nasze zapasy leków są na wykończeniu. Zadzwońmy jutro do szpitala w mieście. Może ich wezmą do siebie. Śpij dobrze. Nie zapomnij opryskać moskitiery DEET.

Pokój gościnny misji, w którym spała Dunka, dzieliło zaledwie kilka kroków od drzwi, na których powieszono kartkę z napisem „chumba hospitali”. Zasnęłaby natychmiast, lecz tym razem nie komar, a człowiek dobijał się do moskitiery, wydając przeciągły jęk. W końcu zawołał tak żałośnie, że Dunka wyskoczyła na korytarz, nie wiedząc, co się dzieje. Noc była czarna jak kahawa, a gwiazdy srebrne jako kostki sukari. Głos człowieka sączył się przez drzwi „hospitali”, a Dunka stała pod drzwiami z ręką opartą na klamce. Trwało to dłuższą chwilę, gdy jednak dotarło do niej ostatnie tchnienie życia, gwizd przeciągły i długi, jakby ktoś wypuszczał powietrze z pompowanego materaca – nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Ciało mężczyzny było opuchnięte, zmęczone i nasiąknięte kroplami potu. Jeszcze ramię z igłą prymitywnej kroplówki tuż nad ziemią huśtało się w tę i wewtę. Dokładnie na twarzy człowieka zatrzymał się księżyc jak reflektor teatralny, by widz mógł przyjrzeć się w pół otwartym oczom. Białka świeciły nasączone światłem miliardów gwiazd, które przyglądały mu się przez okno.

- Antonella! Antonella! On nie żyje! - Dunka zapukała do drzwi, za którymi powinna była spać siostra. Antonella zerwała się z klęcznika. - Uspokój się, moje dziecko, jutro pochowamy go nad kanałami. Teraz już nic nie można dla niego zrobić.

Jutro to tylko kilka godzin później. Pochówek był szybki i prostszy niż utrzymywanie chorego przy życiu. Nikt tu nie pytał o dokument tożsamości, nikt nie rejestrował zmarłego. Miejsce na cmentarzu miejscowym kosztowałoby misję co najmniej dwadzieścia pięć dolarów. W kraju, gdzie życie człowieka wycenia się na jednego dolara to majątek. Tydzień życia dla całej misji. Dwóch mężczyzn wykopało dół w pobliżu budynku misji, nad kanałem z nieczystościami, gdzie z ziemi wyrastało co najmniej kilkanaście drewnianych krzyży. W zielonej Ugandzie było dość drzewa, by kleić trumny i zbijać krzyże. Obok dwa świeże nasypy grobów.

Dunka stała nad nimi, bezmyślnie wpatrując się w kopce nie większe od pudełek po butach.

- Tu leżą dwie małe dziewczynki. Zostały okaleczone w zeszłym tygodniu. Obydwie zmarły tego samego dnia z zakażenia. Miliony dzieci mają to robione co roku. Circumcision to podłość. – powiedziała Antonella.

Dunka nie знаła tego słowa. Antonella gestem tnącego noża przejechała po swoim podbrzuszu.

Wszyscy podopieczni misji zeszli się już ze swoich chat i teraz odprowadzali zmarłego człowieka o imieniu Kapy z rodu Kinda (Kapy Mwine Kinda) na ten prowizoryczny cmentarz. Przy dźwiękach dwóch bębnow intonowali wesołą pieśń przyszłości. Niech dusza tego człowieka wraca do Ojca, Baba Yetu, Matko Boża, Mama wa Mungu, módl się za nami grzesznymi. Nogi zaczynały się ruszać w rytmie muzyki, wszystkie ciała kołysała monotonna melodia, nikt nie myślał tu o śmierci, tylko o życiu, zawsze o życiu, teraz i zawsze i na wieki wieków, amen. Na sasa, na siku zote, na milele anima. Ojciec Saulius wrócił po tygodniu zmęczony, zarośnięty i głodny. Jeszcze tego samego dnia, przy pierwszej okazji w czasie posiłku, Dunka zagadnęła go, że musi się stąd wydostać.

- Jeszcze nie czas.

- Jak to nie czas?! Muszę wracać do domu. Muszę to jakoś zorganizować. Najpierw znajdę pracę. Mogłabym czegoś poszukać na jeziorze Wiktorii. Mają tam chyba jakieś pasażerskie promy? To mój zawód. Jestem technikiem morskim.

- Jeszcze nie czas – pokiwał głową i odszedł.

Następnego dnia dostał czterdziestostopniowej gorączki. Nawroty, coraz łagodniejsze, zdarzyły się jeszcze kilka razy. Antonella chodziła strapiiona, a Dunka, chcąc, nie chcąc, spędzała czas z dziećmi, rysując na tablicy cały świat, od gór Rwenzori po Bałtyk. Któregoś wieczoru na misji pojawiły się trzy starsze już dziewczyny z pobliskiej wioski. Znały dobrze to miejsce, czuły się jak u siebie w domu. Były pogodne i rozgadane. Wszystkie miały włosy uplecione w cieniutkie warkocze poprzetykane ozdobami z kolorowych szkieł. Wymusiły na Antonelli otwarcie najważniejszej misyjnej szafy

i wydobyć z niej dvd, a po chwili zmieniły jadalnię w salę kinową. Mały Anil mieszkał z matką na przedmieściach Bombaju i zarabiał na życie jako uliczny grajek. Dorosły Anil pod pseudonimem Jimmy zdobył jednak sławę, choć musiał stawić czoło zawistnemu Samowi... „Disco Dancer” bardzo się podobał i dziewczyny z miejsca załapały hinduskie hity. Wszystkie miały po trzynaście lat i nazywały się Nemote, Gnena i Afouna.

- Teacher! Lubisz Shakirę?

- Popatrz, jak tańczę!

- Znasz tę piosenkę?

Nemote, Gnena, Afouna przez cały następny dzień szydełkowały głowę Dunki. Spojrzała w lustro. Wyglądała ładnie. Jak nowa miotła.

- Kombo, kombo – śmiały się Nemote, Gnena i Afouna.

Dała im angielską sukienkę w kwiaty. Popłakały się ze wzruszenia. To nic, że jedna sukienka na trzy! Będą nosić razem.

Nazajutrz zobaczyła ojca Sauliusa na dziedzińcu misji w doskonałym humorze biegającego za piłką z chłopakami.

- Teraz już czas – puścił do niej oko, wkopując piłkę pomiędzy dwa wiklinowe kosze z kokosami.

Rozdział VIII

Tłum napierał z wszystkich stron na stragany, wśród których przeciskały się kolorowe autobusy – matatu. Można było się tu najeść, ubrać, wyposażyć w dowolny sprzęt, zaznać płatnej miłości. W końcu w miejscu, gdzie Saulius kazał czekać na „matatu Port Bell” pojawiła się, pokryta napisami od dachu po felgi, buda na resorach. Zamiast wyrwanych drzwi na schodkach stał człowiek, który, krzycząc i naganiając podróżnych, wywoływał poruszenie tłumu. Kilkanaście osób z tobołami, paczkami, kartonowymi pudłami uczeponymi głowy rzuciło się w jego kierunku przy nerwowym warkocie silnika matatu. Kierowca gazował jeszcze maszynę, by zwiększyć poziom adrenaliny podnieconych pasażerów.

Dunka mogłaby pomyśleć, że nie zdąży upchać do matatu siebie i czerwonego niewielkiego plecaka, w który wyposażyła ją dobrotliwa Antonella. W plecaku był banknot pięćdziesięciodolarowy i plik szylingów, więc Dunka trzymała go przed sobą, przytulając jak nowonarodzone dziecko.

„To moje nowe życie” – pomyślała dziś rano, przytulając się do Antonelli jak do własnej matki. Zawiązała jej zieloną chustę na szyi.

- Che bella! - Antonella w swojej szarej sukience kochała wszystkie kolory, jakie stworzył Pan.

Teraz Dunka nie pozwalała sobie na najmniejszy błąd, weszła na schod-

ki matatu jako ostatnia. Autobus ruszył z charkotem pomiędzy stragany, przeciskał się, co chwilę gwałtownie hamując, po czym kilka minut później podpełzł z powrotem w miejsce, które jakimś cudem było tu znane jako przystanek do Port Bell.

Kierowca wziął od Dunki pięć tysięcy szylingów i kategorycznie usadził ją u swojego boku. To lepiej – była oddzielona od zaczepek sprzedawców zegarków, którzy co chwilę zaglądali do autobusu z wielkimi kapeluszami pełnymi wypukłych szkiełek „made in china”. O dziwo, kilku pasażerów dało się skusić i teraz ludzie oglądali swoją nową biżuterię. Dunka zerknęła na złotą tarczę na ręku kierowcy. Cyferblat pokazywał szóstą piętnaście. Dochodziła dwunasta w południe. Czasu tu nikt nie mierzył. Pole – pole.

Naganianie pasażerów i jazdy próbne wokół targowiska trwały jeszcze godzinę. W końcu za którymś razem, gdy temperatura w autobusie stała się upiorna, a ludzie Ignęli do okien, wywołując pomruki niezadowolenia współpasażerów, matatu, inaczej niż przedtem, skręcił po łuku w lewo i, głośno trąbiąc na pożegnanie, opuścił dworzec.

Jadąc jeszcze przez miasto, po raz pierwszy od dawna oglądała Afrykę jak turystka zwolniona z odpowiedzialności za świat, który przesuwiał się przed jej oczami. Patrzyła bez doświadczenia rytmu ulicy, która z okiem matatu wydawała się równie monotonna jak w każdym innym mieście. Domy, samochody, ludzie. Więcej nadmiaru wszystkiego, więcej chaosu niż we Władystawowie latem, w środku sezonu. Gdzie nie się nie spojrzano – graffiti, napisy, reklamy, ludzie czarni, ale kolorowi, bardzo różnie ubrani, muzułmanie, katolicy, protestanci, wyznawcy Katonda, Stworzyciela ziemi i świata. „Bóg ma wiele imion” – skądś się to jej przypomniało właśnie teraz, gdy zobaczyła napis „JAHWE SHALOM” na murze maleńkiego meczetu.

Szosa wypadła z miasta nagle, ale tam, gdzie asfalt skończył się, rozwijając przed jej oczyma serpentynę siwej żwirówki, zaczynało się nowe miasto – królestwo baobabów, termitów i zarośli. Jechali, podskakując na największych dziurach, bo regularne wypukłości matatu wprost przelatując, dociskając pedał gazu do spodu, jakby brali udział w wyścigu co najmniej Paris – Dakar. Co chwila przypalał papierosa, kiwając głową na Dunkę, która mu podawała ogień z zaciętej zapalniczki. Upał stał się nieznośny. Tym razem za sprawą zamkniętych okien, które pasażerowie zatrząskiwali, potwornie marznąc, podczas gdy Dunka przecierała krople wilgoci na skórze. Powiew z otworu po wyrwanych drzwiach docierał zapewne dalej, w miejsce, gdzie siedział naganiasz kulący się z zimna w wielkim, czarnym kapturze i czapce.

Jechali tak do zmierzchu, który tu zapadł jak zwykle wcześniej i nagle. Dokładnie wtedy, gdy autobus wtoczył się z hurgotem w koleiny sporej osady, na tyle dużej, by utrzymać jedną naftową latarnię, coś z niego wypadło. Poczuli to, sama spadając niemal ze swego siedzenia. Kierowca leżał pod brzuchem matatu, okręcając piasty starymi wentylami od rowerów. Naprawa tarczy hamulcowej, która zwisała uciepiona ostatniej śruby, trwała nie dłużej niż dwie, trzy godziny. Czas! Każdy ma go pod dostatkiem. Pole-pole.

Ostatni odcinek Port Bell Road pokonywali już o świcie. Na koleinach nocy budziła się tylko, by przypalać kierowcy papierosy, więc teraz czuła się dość wypoczęta i wyspana. Znała już jego imię – Joseph Sseguja, czyli „Zrodzony w drodze”, oraz numer komórki:

- Na wszelki wypadek, gdybyś, Dijun Kaa, potrzebowała pomocy, moja rodzina mieszka w Kampaala...

Teraz doskonale wypoczęta i najedzona słodkimi, twardymi pączkami od Antonelli pomyślała, że w porcie musi znaleźć toaletę, zanim znajdzie pracę. Port Bell otulone pasmem wzgórz, witało Dunkę nowoczesnym City Hall Tower. Nagle zdecydowała, żeby wysiąść wcześniej, właśnie teraz, w centrum miasta.

- Joseph, czy możesz zatrzymać się tutaj ?

- No problem – pisk hamulców. - Good luck, Dijunn Kaa. Moja kwa, moja.

- Co to znaczy?

- Prosto, prosto.

Pod wejściem do niewielkiego hotelu „Orchidea”, po drugiej stronie ulicy, zbiegowisko gapiów dopingowało dwóch czarnych mężczyzn nasuwających się po szczękach. Wargi, nosy i oczy mieli już opuchnięte, ale żaden z nich nie zamierzał ustąpić z placu walki. Dopiero, kiedy z drzwi hotelu wyszedł biały, siwy mężczyzna w popielatej marynarce, noszonej z jakąś ekscentryczną elegancją, w jedwabnym szalu, z orchideą w butonierce, tłum rozszedł się, pociągając z sobą stłuczonych awanturników. Mężczyzna wsiadł do białego mercedesa i odjechał z autentycznym piskiem ogumienia.

Gdy weszła do hotelowego lobby, oczy wszystkich obecnych tam ludzi od razu namierzyły jej drobną postać, czerwony plecak, dredy, za duże buty trekkingowe. Odpowiedziała im uważnym spojrzeniem. Sami biali, nie przypominali turystów, a raczej prowincjonalnych džentelmenów zza wschodniej granicy UE. Nie pomyliła się. Jeden z nich, najbardziej odstawiony, z wielkim brylantem na grubym paluchu, rzucił w jej kierunku:

- Change money? - z takim akcentem, że mogłaby się od razu założyć, że jest bratem Stiepana, do którego był zresztą podobny jak Kain do Abła. Nie po-

wiedział tego jednak wyraźnie do niej, a był to raczej jakiś żart przeznaczony do użytku ogólnego, bo pozostali mężczyźni roześmieli się gwałtownie.

- Dawaj, Marija, imiejem gostia.
- W czym mogę pomóc, Madame?

Marija miała zupełnie jasne włosy, utlenione jakimś sposobem. Była wysoka, czarna i kotłowała biodrami niczym żaglowiec na pełnym morzu.

- Czy można u was napić się kawy? - To było najlepsze, co przyszło Duncce do głowy. – Jestem w drodze do portu. Nie znam miasta.

- Restauracja jest obok. Nie chce Pani rozmienić pieniędzy? American dollars?

- Tak... nie... nie wiem... chyba nie są mi potrzebne - i nagle decyzja, by powiedzieć na głos coś, co mogłoby zmienić sytuację. - Szukam pracy na jakimś promie.

Powiedziała to dostatecznie donośnie, by usłyszał ją grubas z diamentem, który tu rządził. Marija uśmiechnęła się wymijająco i w całym lobby zapadło milczenie.

Hotelowa restauracja serwowała doskonały chai – mleko z liśćmi herbaty zalane wrzątkiem w wysokim dzbanku. Usiadła przy stoliku na tarasie i postanowiła zaraz potem wziąć taksówkę prosto do portu. Miała wciąż jeszcze kilkanaście banknotów Bank of Uganda po tysiąc szylingów. Poszła do toalety, gdzie czekała ją miła niespodzianka. Twarz kobiety ogorzała słońcem, ładna, w koronie złotych dredów.

Gdy wróciła na taras, by docić chai, przez chwilę zawahała się, czy powinna to robić. Przy jej stoliku siedział grubas z diamentem.

- Nu dawaj, dawaj! – prychnął, widząc jej niezdecydowanie – Come, Lady. Usiadła, ściskając plecak, jakby się bała, że jednym ruchem grubas wyrwie go i ucieknie.

- Więc – zaczął śpiewną angielszczyzną z Odessy – szukasz pracy, tak?
- Tak – właściwie nie zdziwiło jej to pytanie. Czekala, aż ktoś je zada.
- Amerykanka? Brytyjka? Niemka?

To pytanie też wydało się jej naturalne, choć wiele razy, zastanawiając się, jak to będzie, gdy ktoś zapyta o jej paszport, nie zdołała wymyślić odpowiedzi, która miałaby jakiś sens.

- Polka.
- Polka?! A co ty tu robisz, Polka? Kak tiebia zawód?
- Dunka, Sir.
- Dunka to twoje imię. A otczestwo, no familija, last name?
- ...Po co Pan pyta? Ma Pan dla mnie pracę? - obrona przez atak.
- Może być. A co ty chcesz robić w Port Bell?
- Chcę się dostać na prom. Muszę zarobić trochę pieniędzy i dotrzeć do

Nairobi. Tam jest polska ambasada. Potrzebuję paszport – mój zginął po drodze.

- Gdzie?
- Gdzie...? No... w Ugandzie. Skradli mi cały bagaż i dokumenty też.
- W Ugandzie... - grubas zaczynał być nieufny, patrząc jak ścisną czerwony plecak.

- A gdzie?

- Co – gdzie?

- Gdzie ci ukradli dokumenty?

Co to ma być? Przesłuchanie?

- Szukam pracy na statku. Znam się na tym.

Milczenie.

- Dopij chai i idziemy – powiedział w końcu.

Chciała zostawić na stoliku banknot, lecz niecierpliwie odsunęła jej rękę.

- Nie trzeba.

Znaleźli się na drugim i ostatnim piętrze hotelu „Orchidea”. Można by pomyśleć, że, wchodząc po schodach, opuścili Afrykę – miękki dywan na czystych ścianach korytarza kopie mistrzów impresjonizmu. Grubas zostawił Dunkę w pokoju dwieście osiem i zniknął. Potrzebowała dłuższej chwili, by się oswoić z myślą, że do pokoju przylega maleńka, luksusowa łazienka z prysznicem i toaletą. Coś, czego nie widziała od pół roku. Skoro mieli dać jej pracę... może powinna się wykąpać?

Nowe doświadczenie z myciem włosów. Dredy należało osuszać owijając ręcznikiem, w żadnym wypadku czochrać. Akurat, gdy zawinęła wokół głowy porządny turban – drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i stanęły w nim dwie postacie. Pierwszy wszedł człowiek z diamentem na palcu. Jednak stracił nieco ze swej pewności siebie. Wszedł jakby przecierał szlak komuś znacznie ważniejszemu. Tym kimś okazał się siwy mężczyzna w jasnej marynarce. Kwiat kokieteryjnie bujał się na piersi.

- Woanajae? - zagadnął grubas. Suahili był wspólnym językiem ich obu.
- Sawa – siwy uśmiechnął się szeroko i to ośmieliło Dunkę, która zsunęła z głowy turban i podeszła do mężczyzny, wyciągając rękę na powitanie.
- I'm Dunka.
- Nice to meet you.

Grubas wyglądał jakby połknął własny krawat. Stał sztywny i przyduszony. Duncce wydało się to niesprawiedliwe, w końcu to on wykazał tę szlachetną inicjatywę, więc postanowiła go zagadnąć.

- A Pan jak się nazywa?
- ...Jurij Piotrowicz Gruszyn... - wystękał po długiej chwili wahania, jakby ta wypowiedź kosztowała go skręt kiszek.

- Rosjanin? Ruskij?
  - Czernomor. Z Odessy.
  - Z Odessy? A ja z Władysława.... nad Bałtykiem...
- Siwy przysłuchiwał się z coraz większym rozbawieniem tej wymianie zdań i, jakby znając grubasa, przeczuwał w jak niewygodnej stawał on sytuacji. W końcu postanowił przerwać tę męczarnię i kategorycznie skierował rozmowę na właściwe tory:
- A więc szukasz pracy...?
  - Tak jest, sir. Szukam pracy na wodzie. To mój zawód. Ale tylko na miesiąc czy dwa. Potem chcę przedostać się do Nairobi. Nie jest to łatwe bez paszportu. Mówiłam już koledze, że straciłam cały bagaż...
- Siwy pokiwał głową ze zrozumieniem:
- Ja, ja...
- W pierwszej chwili nie rozumiała tego „ja” tak, jak zostało powiedziane, ale już następne słowo brzmiało wystarczająco mocno, by od razu załapała, że facet mówi po niemiecku:
- Geschehen... zdarza się...

Stała pod oknem, patrząc na ruchliwą ulicę Port Bell.auta najeżdżały na siebie i na przechodniów, ci nachodzili na siebie i na auta, i na uliczne sprzedawczynie egg-bread – naleśników z jajkiem sadzonym, lokalnej odmiany cheesburgera. Z tego miejsca było ich widać aż trzy.

- W tym momencie usłyszała za plecami ruch. Siwy mężczyzna opuścił pokój. Jurij milczał jeszcze przez chwilę, jakby musiał odreagować stres, po czym odezwał się dosyć spokojnie:
- Hans się zgodził. Za godzinę pojedziemy do portu. Dostaniesz tam pracę na promie do Kisumu.
  - Kisumu... Przepraszam, ale nie wiem, gdzie to jest... Tanzania?
- Spojrzał na nią z pogardą, jakby nie zdała egzaminu z topografii.
- Kenia... masz godzinę, możesz się przespać... albo zejść na śniadanie... dają sadzone jajka... wrócę tu po ciebie, a reszty dowiesz się na miejscu...
  - Jurij...
- Spojrzał pytająco, ale nie chciało mu się otwierać ust.
- Jurij... a co z moim paszportem... czy to nie przeszkadza...?
  - Paszport nie będzie ci do niczego potrzebny – odparł, zamykając już za sobą drzwi, a ta odpowiedź zawisła w powietrzu jak pytanie, czy aby na pewno wszystko jest ok...

## Rozdział IX

Wybrała opcję szybkiej regeneracji na miękkim hotelowym materacu, o wiele zbyt miękkim i zbyt hotelowym, by zbiegły się tu radosne sny. Wręcz przeciwnie. Wolałaby chyba pod powiekami zobaczyć Onu, a na pewno Standisha, gdy tymczasem odwiedził ją jej własny, osobisty nieprzyjaciel, koleś, którego nazywali „Maniuni”. Przypiął się do niej na całe pięć lat, pięć najpiękniejszych lat młodości. Wymazała go z pamięci już dawno, a on wrócił teraz, by położyć się obok, na zapadniętym łóżku z potwornie tłustymi włosami. Mruczał przy tym cicho, lecz dobitnie, by dobrze go rozumiała:

- Jak możesz tak kłamać... jak możesz tak kłamać...

W tej sytuacji Jurij, który stanął w drzwiach, wydawał się wybawieniem. W milczeniu wyszli na korytarz i wkrótce znaleźli się na ulicy. Przed hotelem stał stary, ledwie trzymający się kupy, peugeot 505. Jurij usiadł za kierownicą z nieukrywaniem obrzydzeniem. Przez chwilę mocował się z kluczykiem w stacyjce, po czym ruszył, nie zwracając przez cały ten czas najmniejszej uwagi na Dunkę.

Port ukazał się ich oczom niespełna pięć minut później. Nie był to ocean, nie niósł ze sobą życiodajnej bryzy, jednak widok wody ucieszył Dunkę i pozwolił zapomnieć o lekkim głodzie, który dawał się już we znaki. Dochodziła dwunasta w południe, słońce wstąpiło najwyżej jak się da, by smażyć wszelkie życie.

Jurij szybko zszedł na ląd, co przyjęła z westchnieniem ulgi, a pierwsze wrażenia z pięknej, trzypokładowej jednostki były jak najlepsze. Zdziwiła ją łatwość, z jaką czarny kapitan „MV Simba” przyjął do wiadomości, że Dunka będzie u niego pracować jako służba hotelowa. Na musterrole wciągnęła się jako Dunka Kombo. Nie zdziwiło to nikogo. Dostała wpis na stanowisko „Steward hotelowy – pokład pierwszy”. Zeszła do kuchni, gdzie spotkała kilka osób z załogi. O dziwo, wszyscy, którzy, tak jak ona, nosili białe mundury byli też biali – dwóch Rosjan, Grecy, jeden Niemiec i kilku takich jak ona – bezpaństwowców. Mówili wszystkim językami ziemi, choć w obecności oficerów i gości luksusowego promu „MV Simba” zawsze używali angielskiego.

Biali byli także oficerowie. Z nieznanых powodów rodowici Afrykańczycy zajmowali w tej hierarchii skrajne pozycje. Od kapitana Filberta Mosesa Cherono i kucharza, jednej z najważniejszych osób na pokładzie po barmanów, sprzątaczy i pomocników od wszystkiego, tak zwanych „uswisi” czyli „szwajcarów”. Wszystko razem wyglądało dosyć zawodowo i Dunka miała powody,

by porzucić niepokój, z jakim opuszczała hotel „Orchidea”.

Kolejne dni pozwoliły jej z wolna odchodzić myślami od wzgórz Rwenzorii, od Antonelli i od wszystkich znaczeń tamtych obrazów. Wspomnienie katastrofy samolotu, która jej, Duncce, uratowała życie, myśl o niedoli ludzi, których spotkała, lecz także ziarno miłości, które już dojrzewało w jej sercu, Standish, Onu – wszystko to stawało się z każdym dniem mniej realne, mniej dostowne.

Służyła na „wielkim białym słońcu” bez żadnych planów na przyszłość. Brak paszportu, brak zobowiązań i brak tożsamości dobrze jej służyły. Wachty na prawej burcie w luksusowych kajutach dla vipów, dobre napiwki, sięgające nierzadko dziesięciu dolarów amerykańskich, i przekonanie, że życie jest proste, łatwe i przyjemne, kofysały jej zmysły dzień w dzień na trasie Port Bell – Kisumu. Trzyście godzin rejsu, krótki postój na Wyspach Sese, zakupy stosów afrykańskich pamiątek z chybionych łódeczek, dla pasażerów wszystkie możliwe przyjemności, dla służby posiłek z okonia nilowego (lates niloticus), który wprowadził dużą monotonię w tutejszy jadłospis, pożerając w ciągu ostatnich kilkunastu lat wszystkie inne ryby tego akwenu, gotowany ryż i w opór owoce, a potem lulu spać na dziesięć godzin i z powrotem.

Tak że dwadzieścia razy przepłynęła wysychające wody Ukerewe, jak nazywano tu największe jezioro kontynentu. I wtedy, jak wiadomo, czujność dawno uspiona budzi demony – zobaczyła na pokładzie Jurija. On też wyraźnie ją dostrzegł, a nawet w jego twarzy mogła wyczytać jakiś sygnał porozumienia, coś w rodzaju „zobaczymy się wkrótce”.

Rzeczywiście, nie minęła godzina, jak wyszedł na nią z korytarza prawej burty. Byli sami. Od razu przystąpił do rzeczy.

- Kabina 1a. Wejdiesz tam i przejrzysz wszystko, co się da. Szukasz szarej papierowej teczki z dokumentami. Wyjmiesz je i włożysz do tej koperty. Kopertę wrzucisz na półkę nad szafami. Zrób to tak, żeby nie była widoczna. Zresztą nikt nigdy tam nie zagląda. Do teczki włożysz te kartki. Musisz tak ją odłożyć, żeby nikt się nie zorientował, że była otwierana. Spraw się dobrze. Masz nie więcej niż piętnaście minut. Właśnie podają śniadanie.

Mówił prostym, dobitnym językiem, a Dunka czuła, że w ogóle go nie rozumie. Więc chwycił ją mocnym uściskiem za ramię i zaczął prowadzić w kierunku kajuty 1a, powtarzając dokładnie ten sam tekst. Tak trzymał ją, dopóki nie zniknęła za drzwiami.

Jęknęła sobie do środka, gdzieś pod żebrami i stanęła jak wryta, rozglądając się dookoła. Kabina 1a zajmowana była przez kobietę. Dunka pamiętała

ją doskonale z porannego okrętowania. Była to chyba Angielka, ruda i wypoczęta. Miała w sobie jakąś szczególną wyniosłość. Nie powitała nikogo z załogi, tylko wkroczyła po trapie, niosąc jedną małą walizeczkę. Walizeczkę właśnie... coś szalenie staromodnego. Pasażerowie, mimo że był to luksusowy prom, używali zazwyczaj toreb podróżnych, w ostateczności plecaków, ale zawsze wyglądali jak prawdziwi biali turyści na afrykańskim łądzie, zachowywali ten fason przypisany do białego safari.

Ona – nie. Szła z walizeczką jak staromodna dama, mimo że mogła mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Dunka odczekała kilka minut i ostrożnie wychyliła głowę na korytarz. Był pusty. Pędem rzuciła się do wewnętrznych schodów dla pokładowej służby i zbiegła do kuchni. Pierwsza osoba, którą napotkała to Bibi, jak nazywali tu najmłodszą sprzątaczkę, uswi z Wybrzeża Kości Słoniowej. Naprawdę nazywała się Zuzi Diaky i pochodziła z plemienia Dagara.

- Bibi, czy wiesz, gdzie jest lista pasażerów? Można tam zajrzeć?

Bibi nie należała do osób najbardziej rożgarniętych, ale uśmiechnęła się szeroko do Dunki, jak to miała w zwyczaju, by nigdy nikogo nie obrazić.

- Bibi... sprzątasz na górnym pokładzie?

Młoda Dagara uśmiechnęła się po raz kolejny, kiwając kilka razy głową.

- Jak się nazywa Miss z 1a? Gdzie to sprawdzić?

Bibi bez słowa pokazała palcem na Malcolma. Malcolm był szefem kuchni z Nairobi. Mistrzem słodkich wypieków, zwłaszcza mandaazi.

- Malcolm? Czy to prawda, że masz listę pasażerów?

- Listę pasażerów? A gdzieś ją pewnie mam, ale teraz mi nie przeszkadzaj.

- Malcolm...?

- Ngoja kidogo, poczekaj chwilę, muszę wydać śniadanie.

- Malcolm! Tafadhali! Proszę!

- Jak ty tak dobrze mówisz w suahili, to Malcolm da ci tę listę zaraz... A po co?

- Dostałam dobry napiwek od jednej pasażerki. Dwadzieścia dolarów. Dam ci dziesięć jak mi pokażesz listę. Sasa. Teraz.

Lista leżała tuż przed nią, na stojaku z brudnymi naczyniami. Rzucona od niechcenia przydawała się tylko wtedy, gdy pasażerowie zamawiali przy rejestracji specjalne dania, zwłaszcza wegetariańskie. Malcolm dostawał taką listę przy każdym rejsie.

1a – Diana Todd.

„Co teraz będzie?” - pomyślała Dunka, nie znajdując w tych literach żadnego oparcia. Diana Todd i co dalej?

- Dzięki, Malcolm, asante sana, masz u mnie dwa „lincolny”.

Wyszła na górny pokład przygnębiona. Miała nie więcej niż dziesięć godzin, żeby się z tego wyplątać. Przerobiła kilkanaście pomysłów w rodzaju – „wyskoczyć za burtę”, „schować się w ładowni”, „zawiadomić policję”. W końcu zdecydowała iść prosto do kapitana. Powinien mieć wachtę na mostku. Wspięła się po schodkach do oszklonej sterówki i już miała nacisnąć klamkę, gdy przez szybę zobaczyła Jurija. Stał obok kapitana i wyglądało, że czuje się dosyć swobodnie, podczas gdy sam Filbert Moses Cherono w milczeniu słuchał jego przemowy i nie odezwał się nawet wtedy, gdy tamten rąbnął pięścią w ekrany radarowe. „Spadaj!!!” – ryknęło w głowie Dunki i rzeczywiście spadła o kilka stopni w dół, skręcając przy tym boleśnie kostkę.

W restauracji pokładowej usisi sprząтали już stoły. Ostatni pasażerowie plątali się jeszcze, wyglądając przez panoramiczne szyby na otwarte wody Ukerewe. Nogi same zawiodły ją pod drzwi z numerem 1a. Zapukała dwa razy, a gdy głos kobiety ze środka jej odpowiedział, nacisnęła klamkę.

Diana Todd stała na środku kabiny ubrana w elegancką garsonkę od Harrodsa. Spojrzała pytająco na Dunkę, ale w jej wzroku nie było nic zachęcającego.

- Miss Todd...

- ....

- Miss Todd, nazywam się Dunka...

- ...

- Pracuję tu, na promie, jestem stewardem tego pokładu...

- ...

- Chciałam zapytać, czy niczego pani nie potrzeba...

- Wszystko jest w należytym porządku...

- ...

- Czy coś jeszcze...?

- ...Nie, to wszystko, dziękuję...

Wyszła na korytarz z trzęsącymi się tydkami, do tego kuśtykając z powodu bolącej kostki. Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Tuż za zakrętem korytarza weszła wprost na Jurija, który wypatrywał jej, od dłuższego czasu przemierzając wszystkie pokłady. Spojrzał z dezaprobatą na nogę Dunki, która wydawała się teraz tak uwierać, jakby wszelka słabość była dowodem braku niewinności. Ale spojrzawszy też pytająco i to właśnie sprawiło, że Dunka kiwnęła głową, mijając go w milczeniu. Potwierdziła, że zadanie zostało wykonane bez przeszkód i dała sobie kolejnych dziewięć godzin na wypląkanie się z zasadzki.

Pierwszych pięć godzin potrzebowała, by dojść do siebie po tym wszyst-

kim. Zwłaszcza, że prom opanowali pasażerowie wyjątkowo rozbawieni. Co chwilę trzeba było zamawiać drinki, łączyć rozmowy telefoniczne, odpowiadać na setki głupich pytań w rodzaju:

- Czy w tym jeziorze jest słona woda?

- Jak się mówi w suahili „to jest mięso geparda”?

- Czy wyspy Ssesse są zamieszkałe przez ludożerców?

Cztery godziny do portu w Kisumu. Dwa razy jeszcze widziała Jurija z daleka i miała pewność, że coś wyczuł, bo przyglądał się jej, kręcąc sygnet na grubym palcu, jakby przymierzał się do skręcenia jej karku tymi samymi dłońmi.

Kabina 1a. Tym razem głos kobiety nie odpowiadał na pukanie. Diana Todd spacerowała pewnie na górnym pokładzie. Obserwował ją Jurij, może nawet z nią rozmawiał... Dunka rozejrzała się po kabinie, znajdując od razu skórzaną walizeczkę. Jest otwarta. W środku bielizna, zwykłe rzeczy osobiste. Ani śladu po papierowej teczce. Najciemniej jest pod latarnią. Dunka usiadła w fotelu przy niskim, kolonialnym stoliku i w ten sposób przetrwała kolejną godzinę.

W końcu klucz zachrobotał w drzwiach i do kabiny weszła kobieta w garsonce od Harrodsa. Jej spojrzenie wyrażało kompletną dezaprobatę dla stewardessy w białym mundurze i dredach, rozpartej w pasażerskim fotelu klasy pierwszej, w najbardziej prestiżowej kabinie dla vipów, jaką miał do dyspozycji „MV Simba”. Dunka wstała natychmiast i, nie przeciągając tej niemiłej ciszy, wypowiedziała pierwsze zdanie z kilkunastu, jakie ułożyła, czekając w tym fotelu na Miss Todd.

- Miss Todd, jest pani w niebezpieczeństwie!

- ... - spojrzenie Miss Todd skupiło się w tym momencie na oczach Dunki.

- Pani bagaże zostały przeszukane.

- ... - spojrzenie Miss Todd padło na walizeczkę.

- Dokumenty są bezpieczne, ale ja nie mogę opuścić pani kabiny.

Garsonka ujawniła swój mistrzowski krój, dzięki któremu sześciomilimetryowy Sig Sauer nie zostawiał na figurze nawet najmniejszej fałdy. Miss Todd trzymała go w wyciągniętej ręce, sięgając jednocześnie po komórkę.

- Jesteś mi potrzebny, mamy gościa.

W ciągu kilku sekund zjawił się mężczyzna podróżujący w kabinie obok ze swoją młodą małżonką. Sympatyczna para w podróży poślubnej okazała się kolejnym zaskoczeniem tego rejsu.

Jednak pewien pogodny nastrój miesiąca miodowego, bez względu na to, jak bardzo byłby fałszywy, pozostał w rześkiej bryzie z jeziora Wikto-

rii. Mężczyzna nie rzucił się na Dunkę, lecz z przepaszającym uśmiechem wysłuchał tego, co miała do powiedzenia. Przy tym, zadając pytania, wykażał zadziwiającą przenikliwość:

- Jak naprawdę straciłaś paszport?
- Kto poza tobą kontaktuje się z Jurijem?
- Czy leczysz się na jakąkolwiek chorobę?

Zastanawiające, czemu pewnym ludziom nie chcemy mówić prawdy. Mimo wszystko, odpowiedzi, jakie otrzymał od Dunki ten mężczyzna, mieściły się w rachunku prawdopodobieństwa, bo wyraźnie uspokojony skinął na pistolet Miss Todd. Po chwili Sig Sauer zniknął w zakamarkach garsonki.

Od portu w Kisumu dzieliła ich nie więcej niż godzina drogi przemierzanej z turystyczną prędkością szesnastu węzłów. Kobieta i mężczyzna nie zamienili przez ten czas ani słowa. Najwyraźniej jednak porozumiewali się ze sobą i ze światem innymi sposobami, bo zaraz potem wydarzyło się coś, co było tak niespodziewane jak słowa Miss Todd:

- Zabieramy cię stąd. Jedziesz z nami. Nie możesz wracać po żadne rzeczy osobiste.

Chwilę później prom odezwał się nigdy dotąd nie słyszonym dźwiękiem syreny, a cała jednostka gwałtownie wyhamowała pracę silników. Po kilku minutach stali już na wodach Ukerewe, czekając, aż na pokład wstąpi kilkunastu kenijskich pograniczników ochraniających oficerów brytyjskiego wywiadu w mundurach sanitariuszy „First Care Ambulance”. Plan dosyć prosty, a genialny na wydobywanie z tarapatów dwóch pasażerów i jednej stewardessy.

Bezpiecznie lądując w małej motorowej łodzi, Dunka starała się nie patrzeć na czarne i białe twarze, które w zdziwieniu obserwowały cały ten spektakl, podejrzewając, że służby celne namierzyły co najmniej przerzut kokainy, przewożonej zapewne w brzuchach trójki przestępców. Stał tam i Jurij, którego z całej siły odpychała wewnętrznym głosem, wołając:

- Zostaw mnie! Zostaw mnie!

Przepadł jak szerszeń, z groźnym buczeniem. Los taskawy nie miał ich spotkać nigdy więcej...

## Rozdział X

Nairobi jest miastem tak potwornie bogatym, że się to w głowie nie mieści. To nic, że z okien rezydencji za miliony dolarów rozciągają się pejzaże slumsów z blach i stomy. Dla gości luksusowych restauracji, którzy przemierzali ulice miasta mercedesami, nie miało znaczenia, że dziewięćdziesiąt procent dzieci nie dojadło, a częściej cierpiało chroniczny głód. Tłumy wolontariuszy naprawiały ten świat pełen cierpienia. To nic, że trzy czwarte ich budżetów szło na utrzymanie administracji. Powiadają, że jeśli w Kenii nie wychodzi ci żaden biznes, powinieneś założyć organizację non profit.

Oto British High Commission przy Upper Hill Road. Nazwa ulicy mówiła sama za siebie. Była to ulica wyższa, ulica ponad to wszystko, co jej nie dotyczyło. Luksusowa ulica w samym sercu Nairobi. Nazwa placówki dyplomatycznej Jej Królewskiej Mości nie mówiła za to nic. I to także mieściło się w logice tego miasta. Zbyt duża tu konkurencja. Dwie ulice dalej miał swoją siedzibę Gesellschaft für Technische Zusammenarbeit. Pod tą nazwą pracowało szefostwo PSTC (Peace Support and Training Center), którego szkoleniowcy na etatach oficerów i podoficerów Bundeswehry przygotowywali żołnierzy z krajów Afryki Wschodniej do udziału w akcjach militarnych chroniących żywotne interesy Niemiec przed czarnymi rebeliantami. Interesy na terenach kopalni bogactw naturalnych kradzionych rdzennym mieszkańcom Afryki.

Kto pierwszy, ten lepszy. W dniu, w którym Prezydent Kibaki objął władzę, obiecał skończyć z korupcją i publicznym bandytyzmem. W ciągu dwóch lat zdołał jednak osuszyć państwową kasę i pobić kolejny rekord Afryki, sprzeniewierzając sto dwadzieścia pięć milionów euro międzynarodowej pomocy, innymi słowy – tysiąc Mercedesów klasy S lub piętnaście tysięcy izb szkolnych. Jak, kto woli. Na szczęście zastrzyk kolejnych dwudziestu dziewięciu milionów euro od rządu niemieckiego poprawił Kibakiemu humor.

W tej sytuacji Brytyjczykom nie było do śmiechu. Więc nikt się nie uśmiechał, gdy przechodzili przez elektroniczną bramkę w budynku misji. Dunka została w milczeniu zaprowadzona do gabinetu numer dwa. Było to doskonałe miejsce na coś w rodzaju przesłuchania, które miało się tu odbyć.

Andrew Doodley Saint Clair był człowiekiem doskonale wykształconym i nienagannie wychowanym. Otrzymał wszystkie atuty potrzebne do osiągnięcia sukcesu poza jednym. Porządnym kontem w Bank of Scotland. Jego rodzina borykała się z problemami finansowymi od kilkuset lat. Opisano to nawet w kilku książkach. Niestety i to nie pomogło Doodleyowi zrobić porządnej kariery w Secret Intelligence Service, znanej lepiej jako MI6. Doodley doszedł

do Kenii i tu utknął na dobrych sześć lat. Malaria i dyfteryt – oto, co zdaniem Doodleya czeka człowieka w takim dupnym miejscu. Widok Dunki zasmucił go jeszcze bardziej. W tej robocie biała dziewczyna z Polski, zciągnięta z pokładu „MV Simba” w mundurze stewarda i bez dokumentów, nie jest okazją do wybicia się ponad przeciętność.

- A więc nazywasz się jak?
- Niech mi Pan najpierw wytłumaczy, gdzie ja jestem.
- Pani wybaczy, ale to ja zadaję tu pytania.
- Nazywam się Dunka i chcę wiedzieć, gdzie jestem.
- Znajduje się Pani w brytyjskim przedstawicielstwie na terenie Kenii. Jest Pani podejrzana o szpiegostwo.
- Że jak??
- Usiłowała Pani wykraść tajne dokumenty rządu brytyjskiego.
- Żartuje Pan! Człowieku...
- Zwróciła się Pani o ochronę, która została jej udzielona w ramach działań operacyjnych.
- Świrujesz! - (to już po polsku).
- Skąd Pani zna język angielski?
- Nauczyła mnie mama. Jest nauczycielką w szkole.
- Gdzie?

I tak dalej, przez półtorej godziny. Zastanawiające, czemu pewnym ludziom nie chcemy mówić prawdy... a jednak jesteśmy do tego zmuszeni.

Doodley wyszedł. Sytuacja stawała się niepokojąca. Przez głowę Dunki przemykały wszystkie obrazy, które nie pojawiły się w rozmowie. Onu udarzał dłutem o pień drzewa.

Doodley wrócił.

- Jak nazywał się człowiek, który zawiózł cię na prom ?
  - Już mówiłam. Jakiś Jurij Piotrowicz i coś na G.
  - „Jurij Piotrowicz i coś na G”. Skąd wiesz?
  - Tak się przedstawił.
  - A ten drugi się przedstawił?
  - Nie.
  - Czemu?
  - On był szefem.
  - Skąd wiesz?
  - Jurij tak powiedział - „Hans się zgadza” - to znaczy, że Hans był szefem.
  - Hans? Nazwał go Hans?
  - Tak powiedział. Czy mogę dostać coś do picia? Strasznie tu gorąco.
- Doodley wyszedł. Tym razem nie było go tylko kwadrans.
- Hans powiedział coś jeszcze? Wyjaśnił, na czym polega twoja praca?
  - Nie, skąd. Nigdy w życiu nie mogłabym się zgodzić...

- ...

- ...Czy mogę dostać coś do picia?

- Jeszcze nie. Zaraz będzie po wszystkim... A zatem ustalmy fakty. Nie masz pieniędzy ani paszportu. Chcesz wracać do Polski najszybciej, jak się da. Jesteś krępującym świadkiem, ale przy odrobinie dobrej woli, albo też całkowitej naiwności, można przyznać, że oddałaś nam znaczącą przysługę. Jesteśmy ci winni rewanż.

- To znaczy...?

- Dziś jest... piątek? Nieprawdaż? A więc zwrócimy się do naszych polskich przyjaciół o drobną przysługę. Dostaniesz paszport w poniedziałek rano. Wyprawimy cię do Polski najszybciej jak się da, powiedzmy... Lufthansą. Może jeszcze tego samego popołudnia. Lufthansa – to brzmi chyba dobrze? Zażartujemy sobie z naszych niemieckich sojuszników... Czyż nie?

- Dobra, może być Lufthansa.... - Dunka od razu pomyślała, że to wszystko jest jeden wielki żart, ale postanowiła bawić się dalej. Co najmniej do jakiejś pointy.

- A więc masz wolny weekend? Nieprawdaż?

- To prawda, weekend mam wolny. Chętnie napiję się czegoś. Może być woda...

- Woda też będzie. Musimy tylko ustalić cenę.

- Nie mam pieniędzy.

- Nie mówię o wodzie. Mówię o paszporcie. Ile jest warty nowy, legalny paszport i bilet do Polski z przesiadką we Frankfurcie w klasie biznes?

- ...Z pięćset euro.

Doodley pozwolił sobie w końcu na śmiech. Śmiał się w złym guście, z własnego dowcipu.

- To, o czym rozmawiamy jest warte pięć milionów...

- Pięć milionów c z e g o? Szylingów czy jak wy tu nazywacie kenijskie pieniądze?

- Pięć milionów euro! Mam nadzieję, że masz właściwy stosunek do pieniędzy? Tych, o których rozmawiamy nie będziesz mogła nawet zobaczyć. Musiałabyś użyć trotylu, a i to nie jest pewne, czy dałabyś radę otworzyć ten sprzęt... Masz ochotę na świeży sok z pomarańczy?

I nie czekając na odpowiedź, nachylił się nad intercomem:

- Przynies dwie szklanki soku i walizkę.

Po kilku minutach w drzwiach pojawiła się młoda kobieta, mniej więcej w wieku Dunki. Niosła tacę z dzbankiem soku i dwoma szklankami. Za nią piegowaty grubas niósł walizeczkę identyczną jak walizka Miss Todd.

- Oto i ona. A zrobisz tak...

Po wyjaśnieniach, w głowie Dunki rysował się obraz totalnej afery z

udziałem wywiadów, coś, o czym w życiu nie słyszała, poza tym, że widziała „Tożsamość Bourne'a”. Skoro jednak domagała się od Doodleya wyjaśnień i była w tym dosyć uparta, uprzejmie uchylił rąbka tajemnicy.

Oficjalnie rząd Sudanu zakazał wywozu jakichkolwiek środków finansowych z kraju. A przecież interesy muszą się kręcić. Legalne interesy oczywiście. Rządowe interesy na najwyższym szczeblu. Przy tym jako Polka zapewne wie, że w złożonym współczesnym świecie nie ma jakichś tam partykularnych brytyjskich biznesów, a jest strategiczny interes całej Unii. Mieści się w nim, oczywiście, pewna konkurencja, jak, na przykład, ta, której sama była emisariuszem, działając dla Angeli Merkel. Tak, tak, dla Angeli, tej samej, którą znamy z gazet! Ale umówmy się – to są elementy układanki, którą trzeba dobrze rozumieć. Osoba postronna, młoda, niedoświadczona musi mieć zaufanie do systemu. Tak, tak – do systemu. I słowo *s y s t e m*, choć brzmi nieco opresyjnie, wyraża koniec końców najwyższy stopień organizacji społeczeństwa demokratycznego, w którym i ona, Dunka, przecież chce żyć, mimo... - tu spojrział wymownie na jej włosy.

- Musimy coś z tym zrobić.

- To znaczy z czym?

- Z włosami.

- C o musimy z nimi zrobić?

Doodley spojrział na zegarek.

- Dwunasta. Samolot odlatuje za trzy i pół godziny. Trzeba się spieszyć.

Wszystko, co działo się później z Dunką i bez jej udziału, jest do opisanie o tyle trudne, że brak tu miejsca na najważniejszą opowieść – tak zwany wewnętrzny strumień świadomości. To coś zupełnie innego niż prosta myśl, którą można zacytować, bo rozumie się sama przez się. Strumień świadomości to potok słów, wewnętrzna eksplozja treści, nad którymi nie panuje nawet sama bohaterka. The heroine herself.

Z boku wyglądało to tak, że Dunka została zaprowadzona do odległego skrzydła budynku, w którym mieściły się gościnne pokoje rezydencyjne wyposażone w minibary i eleganckie, przestronne łazienki. Tam dwie kobiety, z których jedna nazywała się Sue i przyniosła już przedtem sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy, posadziły Dunkę na zamkniętym sedesie i, dogadując dla dodania animuszu, obcięły jej włosy bardzo blisko skóry, na ile dało się ominąć dredy. Zanim zobaczyła swoją nową fryzurę w lustrze, poczuła się niedobrze, ale nie były to nerwy, tylko autentyczne mdłości. Ku zdziwieniu Sue i tej drugiej, musiała podskoczyć z kibelka i ledwie zdążyła podnieść deskę – już rzygała do środka, jakby się zatruta albo była w ciąży. Ponieważ nie czuła się jakoś szczególnie zdenerwowana, a raczej wściekła

i ponieważ od rana nie miała nic w ustach poza sokiem z pomarańczy, w związku z czym należało wykluczyć zatrucie, pozostawała ta trzecia ewentualność. I właśnie myśl, że ma w brzuchu wielokomórkowy organizm żywy, będący wynikiem zapłodnienia jajeczka przez plemnik Onu wywołała w niej eksplozję, której nie da się tu przytoczyć.

Piętnaście minut później zobaczyła w lustrze kogoś a la Annie Lenox. Mężczyzna, który przyszedł na telefoniczne wezwanie Sue mógł zrobić zdjęcie. Trzy błyski flasha i gotowe. Dwuczęściowa popielata sukienka, w którą ubrała ją Sue, nie pochodziła od Harrodsa. Dekolt kończył się prawie pod brodą, a spódnica sięgała dobrze za kolana, jednak Dunka poczuła się w niej całkiem niezłe. Do tego dwie przepastne kieszenie i niebieska chusta, zawiązana pod szyją jak u Audrey Hepburn. Poza wszystkim nie musiała nosić pistoletu. Bingo! Wystarczyło, żeby przywiozła na Upper Hill Road w Nairobi pewną walizkę. Identyczną, jak ta, którą zawiezie teraz do Grand Holiday Villa w Al Khartum. Tyle, że ta jest wypełniona osobistymi rzeczami Ebby Monkson, a tamta wypełniona forszą. Tyle, że asystentka dyrektora oddziału „Friends of Sudan” musi skoczyć do Chartumu i zjeść wystawny obiad w hotelowej restauracji, żeby ktoś tam, nie wiadomo, kto, mógł ją sobie obejrzeć. I zaraz potem, bagatela, musi udać się do hotelowego sejfu po tę walizkę. Ale właściwe nie t ę, tylko taką samą walizkę. Zamiana walizek nie będzie problemem po tym wszystkim. A potem już tylko jedna nieprzespana noc w apartamencie Grand Holiday i rano – myk taksóweczką na lotnisko z pięcioma milionami euro. Banda popaprańców! Tak to się nazywa?

Sue łaskawie zgodziła się, żeby wiatrowa linka z medalionem została tam, gdzie była.

- Dobra, nikt nie zobaczy. Niech ci będzie.

- Dzięki, Sue, wiesz, to mi przynosi szczęście.

- Tak? A co to właściwie jest?

- Hawaria.

- Hawaria...?

- ...Pamiątka po kimś bardzo bliskim.

- Po kim?

- Po... po przyjaciółce. Nazywa się Serafina. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

Sue spojrzała na Dunkę wzrokiem pełnym wątpliwości. „Ach, ci Polacy! Doodley popełnia chyba jakiś straszny błąd.”

Doodley popełnił nie jeden, a kilka błędów. Po pierwsze, paszport na nazwisko obywatelki brytyjskiej szwedzkiego pochodzenia, Ebby Monkson, wystawiony pół godziny wcześniej z aktualną datą otrzymał przepisowy dziesięcioletni okres ważności. Po drugie, wiza sudańska, którą wbito przed

kwadransiem do nowego paszportu nosiła oznakowania Ambasady Sudanu w Berlinie i była ważna aż sześć miesięcy. Po trzeciej, *salvus conductus*, czyli list dyplomatyczny gwarantujący bezpieczny przejazd przez terytorium As Sudan, był wystawiony na okaziciela. „Użyj tego papieru, tylko gdyby chcieli sprawdzać twój bagaż przy wyjeździe. I jeszcze numer telefonu. Naucz się go na pamięć. Dzwonić tylko w ostateczności!”.

Na lotnisko Jomo Kenyatta pojechała już sama taksówką. Odprawa samolotu Sudan Airways miała się właśnie kończyć, gdy wbiegła do oszklonego budynku, pełnego białych, jak na lotnisku w Londynie. Wejście po trapie od strony rufy to rzadkość w samolotach pasażerskich. Ten McDonnell Douglas MD-83 był reliktem nawet jak na warunki afrykańskie. Na widok przepastnego otworu w ogonie samolotu zacisnęła powieki. Tamten samolot wciąż płonął w jej oczach.

Klasa biznes okazała się strefą pięciu foteli na dziobie samolotu. Oprócz niej siedział tam tylko jakiś dyplomata lub człowiek biznesu zlakniony sukcesu, sądząc po tym, jak, zatopiony w laptopie, poświęcał czas na usuwanie przeciwników z planszy Warhammera. Nie podniósł głowy nawet wtedy, gdy ze skrzypiących głośników popłynęła modlitwa. „Allah Akbar” śpiewał męski głos.

Dunka od początku wiedziała, że nie pasuje do Ebby Monkson. W ogóle nie czuła w sobie ani odrobiny szwedzkiej asystentki dyrektora „Friends of Sudan”. Arabski celnik długo oglądał paszport, z niedowierzaniem wczytując się w datę wbicia sudańskiej wizy w Berlinie, tego samego dnia. W końcu zawołał innego mężczyznę, wyraźnie bardziej doświadczonego w kontaktach z Europejczykami. Ten nawet nie spojrzął na Dunkę. Po prostu nachylił się nad ekranem komputera i wpisał numery. Po chwili kiwnął głową z aprobatą. Zgadza się.

Jeszcze kontrola bagażu – rzeczy osobiste i to bez bielizny. Żadnych papierów. Walizka otrzymała fioletową nalepkę. To znak, że bagaż „jest czysty”. „Doodley, zapomniałeś o nalepce” – pomyślała z satysfakcją Dunka.

Przywitał ją taksówkarz, który nie czekał nawet, aż kobieta w szarej sukience poda adres. Jakby przejazd zieloną taksówką przez brunatne miasto był w planie tej historii. Domy z kamienia, z wypalanej cegły, białe kitle i ghutry okalające czarne twarze, porażający błękit nieba – to kolory miasta zwanego „trąbą słońca”. Wszędzie meczety, modlący się i handlujący ludzie. Czas zatrzymał się tu wieki temu.

Grand Holiday Villa było małym pensjonatem właściwie na obrzeżach miasta. Taksówkarz dotarł pod same drzwi, jak nawigacja gps. Recepcjonista

w europejskim garniturze czekał na kobietę, która ma przybyć z Nairobi mniej więcej o tej porze. „Proszę nie brać prysznic, stolik już czeka”. W tej podróży czas się nie dłużył. Wszystko zaplanowane nawet zbyt wygodnie.

Dunka nie miała ochoty jeść niczego, co niski, drobny kelner jej przynosił, w ogóle nie przyjmując od niej żadnego zamówienia. „Chyba nie chcą mnie otruć...?” – pomyślała, przełykając kęsy chleba. „To mięso w gulaszu z ryżem jakieś dziwnie słodkie”.

- How you call this meat? - przełamała się, żeby zapytać kelnera.

Kelner spojrzął z szeroko otwartymi oczyma. Coś tam powiedział po arabsku nie do powtórzenia. Na pomoc przyszedł mężczyzna przy sąsiednim stole. Arab w białej galabiji był drugim gościem hotelowej restauracji. Oprócz nich dwojga nie było tam nikogo.

- You call it „cabbage leaves” - powiedział nienaganną angielszczyzną z brytyjskim akcentem.

Tym bardziej Dunka nie rozumiała tego „kabydż lifs”. Co to jest? Kapusta? Ebba Monkson odwzajemnił jednak uśmiech i kiwnął głową:

- Oh, you mean kabydż lifs... I like that...

Gdy po wyjściu z restauracji mijają recepcję, walizka sama wylądowała na kontuarze.

- Czy zechce pani sprawdzić swój depozyt, Madame?

Nie miała ochoty nawet odpowiadać. Fioletowa nalepka dała się łatwo przykleić. Dobrze, że nie zwlekała, chwilę później do drzwi pokoju znowu zapukał człowiek z recepcji:

- Czy sprawdziła już pani depozyt, Madame?

Dunka bez słowa pokazała palcem na małą, brązową walizkę w rogu pokoju. Gdy tamten wyszedł, zrzuciła z siebie sukienkę. Było jej gorąco, niedobrze, nie tak, jakby chciała. Zasnęła na wygodnym, szerokim, małżeńskim łóżku, z którego zrzuciła pościel, bo tu zbyt gorąco, by rozgrzane ciało otulać w prześcieradło. Jutro samolot do Nairobi z samego rana, ósma zero pięć.

W nocy budziła ją suchość w ustach, a przy tym mdłości. Przez okno zobaczyła zieloną taksówkę. Kto jej tu kazał czekać? Doodley...? Reszta nocy już nie przespana. Znowu gorąco, niedobrze, nie tak, jakby chciała. W głowie słychać było śpiew dzieci Sauliusa. Salamu Maria Umejaa Neema bwana Yu Salamu Maria Umejaa Neema bwana Yu. I tak sto pięćdziesiąt razy, albo i więcej.

Recepcjonista, wciąż ten sam, zapukał do drzwi pokoju o świcie. Dunka była już ubrana.

- Trzeba jechać na lotnisko, Madame.

## Rozdział XI

Dunka trzymała w ręku paszport, kopertę z żelaznym listem i dwudziestodolarowy banknot, którym miała dokonać „opłaty wyjazdowej” przy stanowisku straży granicznej. „Jeden krok i jestem z powrotem... czyli u Doodleya.”

- Na myśl o tym człowieku mdłości się nasilały. Do tego doszedł skurcz w brzuchu. - „Saulius opowiadał przecież o misjonarzach. Są tu chyba jacyś normalni ludzie, do cholery!” - rozejrzała się, czy przypadkiem nie słyszą jej pasażerowie w kolejce do przejścia granicznego.

Piękna stewardessa Sudan Airways musiała powtórzyć kilka razy:

- Your ticket, please.

- A czy mogę oddać bagaż już teraz? - wypaliła nagle Dunka.

- Oczywiście. Proszę położyć na taśmie. To pani cały bagaż?

- Tak, to wszystko. Nie mam przy sobie nic poza paszportem. - Dunka rozłożyła ręce, jakby chciała pokazać, że w fałdach sukienki nie ma swojego Sig Sauera.

Stewardesa wręczyła Dunce tajemniczy biały pasek z arabskimi napisami.

- Dziękuję, to wszystko. Proszę to oddać przy kontroli paszportowej.

Walizka rzucona na taśmociąg zniknęła w otworze. Jeszcze pomachała do Dunki mosiężną rączką i odjechała na pokład Sudan Airways, by jak najszybciej wrócić do Doodleya.

Dunka poczęstowała stewardessę najpiękniejszym ze skandynawskich uśmiechów, na jaki mogła się zdobyć Ebba Monkson. Uśmiech znaczył „jeśli nie pójdę natychmiast do toalety, to się zsikam na miejscu”. Tamta zrozumiała ją natychmiast i pokazała palcem przeciwległą ścianę przeszklonego hallu. Dunka spędziła w pachnącej staromodnymi detergentami toalecie następne półtorej godziny. Wyszła dopiero, gdy za drzwiami WC usłyszała głosy niemieckich turystek, które hałaśliwie dyskutowały kwestie higieniczne.

Na lotnisku odprawiano teraz masę samolotów. Ludzie kłębili się w poszukiwaniu swoich linii lotniczych. Nikt nie zastanawiał się, czemu biała kobieta w szarościach i błękitach podchodzi do stanowiska „Central Bank of Sudan”.

- Change money?

- Yes.

Na kontuar padły zmięte banknoty. Dwieście, tysiąc. Cztery tysiące plus drobne. I jeszcze liczby w głowie. „Jak to było? Dwadzieścia pięć czterdzieści dwa zero siedemnaście dwieście dziewięć dziewięć.”

- Skąd mogę zadzwonić zagranicę?

- Na pierwszym poziomie jest publiczny telefon.

- Halo – głos kobiety.

- Proszę powtórzyć Panu Doodleyowi, że walizka leci do Nairobi sama.

- ... Kto mówi? Kto mówi?

- Dunka. On będzie wiedział, kim jestem...

Autobus tłukł się niemiłosiernie po obrzeżach miasta. Potrzebowała dwóch godzin, by w końcu wjechać w zatłoczone ulice Chartumu. Wysiadła w miejscu, które sprawiało wrażenie dobrze zorganizowanej, nowoczesnej metropolii. A teraz gdzie?

W pierwszym napotkanym sklepie kupiła butelkę zimnego „Zam Zam Cola”, które najwyraźniej, sądząc po zawartości lodówki z napojami, uważano tu za coś znacznie lepszego od Coke. Upał stawał się niemiłosierny. Dobrze, że sukienka od Sue taka wygodna i lekka.

- Do you know any church over here...? - zapytała ponurego sprzedawcy.

Spojrzał na haudzia, białą kobietę, jakby zobaczył ducha.

- Church? A co to takiego?

- Christian church where people pray.

- No church, no christians in K'hartum!

Wydawał się mocno zagniewany. Nie uszła stu kroków, gdy drogę zajęła jej biała toyota. Mężczyzna, który z niej wyskoczył, porzucając auto na środku ulicy, wykrzykiwał coś po arabsku, gestami pokazując, że Dunka powinna wsiąść z nim do samochodu. Przez chwilę udawała, że nie rozumie sensu tego zdarzenia, lecz gęstniejący w ulamkach sekund tłum zagradzał jej już wszelką drogę ucieczki.

Na posterunku policji gruby oficer mówił dobrze po angielsku. Upał wyciskał mu z czoła gęsty pot. Rzucił na biurko czapkę i dosłownie rozszarpał kołnierzyk munduru. Wyraźnie traktował Dunkę jak łup, z którym musi się rozprawić.

- Nazwisko? Paszport? Cel podróży?

- Ebba Monkson. Obywatelka brytyjska. Jestem asystentką dyrektora „Friends of Sudan”. Mam list.

- Jaki list?

„Otóż to, jaki list? Ciekawe, co Doodley kazał tam napisać? Albo będzie wtopa, albo uratuje mi ten bydlak życie.”

Oficer studiował pismo przez długą chwilę, po czym zapiął kołnierzyk i wcisnął sztywną czapkę na mokre czoło i mało brakowało, żeby zasalutował.

- Jakiego kościoła pani szuka? Każę panią podwieźć policyjnym samochodem. Nie powinna pani chodzić po Chartumie sama.

To zmienia postać rzeczy. Dunka usiadła wygodniej na niewygodnym krześle.

- Zamierzam odwiedzić którąś z katolickich misji. Chcemy się zorientować, z jakimi problemami mają tam do czynienia na co dzień...

- Z problemami? W Sudanie nie ma problemów. Szczególnie dla misjonarzy. Chrześcijanie są tu mile widziani, jak wszyscy. Omaaah! - krzyknął w kierunku drzwi.

Omar, który tak brutalnie zapakował ją pół godziny wcześniej do toyoty, miał teraz spuszczonego, zaciętego wzrok. Bez słowa otworzył przed Dunką tylne drzwi, a sam usiadł za kierownicą i ruszył z piskiem opon. Po kilkunastu minutach ostro zahamował przed jakimś budynkiem, a Dunka omal nie zwymiotowała mu przez ramię prosto w kierownicę.

Pukając do drzwi, zobaczyła tabliczkę „Worldwide Fellowship”. Kobieta, która jej otworzyła nie sprawiała wrażenia zadowolonej z wizyty. Lecz choć na zaszuszonej, pokrytej głębokimi zmarszczkami twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu, zaprowadziła Dunkę do chłodnego gabinetu na piętrze, nie oczekując żadnych wyjaśnień. Zrobiła to jak coś naturalnego, coś, co należy się białej kobiecie pukającej do drzwi zboru baptystów. Dunka nie spodziewała się zobaczyć wielkiego stojącego zegara, który opowiadał głosem zgrzybiatego starca historii jeszcze z czasów Mahdiego.

Pastor Howard Hammond był równie stary jak zegar, a jego pojawienie się równie zaskakujące. Popatrzył Dunce w oczy tak mocno, że aż zsunęła z głowy chustę, żeby mógł obejrzeć ją sobie całą. Z tymi idiotycznymi krótkimi włosami.

- Śmiało, Bóg da ci moc potrzebną do tej rozmowy – wypowiedział jedno zdanie i znowu zaległa cisza.

- Ja... - właściwie nie zupełnie wiedziała, co może powiedzieć temu starcowi - ...Szukam organizacji humanitarnej, albo misji, albo kogoś, kto pomoże mi przedostać się do południowego Sudanu.

- Gdzie konkretnie?

Zaskoczyło ją to pytanie.

- Do Wau.

Starzec skinął głową.

- Napijemy się herbaty i poprosimy ojca Timothy o pomoc w tej sprawie. Helen!

Helen jakby czekała już za drzwiami z mosiężną, arabską tacą, na której podzwaniały trzy filiżanki z angielskiej porcelany oraz dzbanek.

- Cukru? Mleka?

- Chętnie.

Siedzieli teraz we trójkę, popijając herbatę, a pastor Hammond pozwolił sobie na krótkie wystąpienie:

- Ojciec Timothy to bohater. Przemycił na południe dwieście pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Tutejsze władze uznały go za wroga publicznego numer jeden. Grożą mu śmiercią. Chcą mu uciąć głowę! Lecz ten dzielny człowiek nigdy się nie załamał. Głosi Słowo Boże z determinacją prawdziwego chrześcijanina... Oto i on...

Timothy Smith wkroczył do gabinetu z impetem i Nowym Testamentem.

- Doskonale! - w przeciwieństwie do pastora i jego żony, Timothy nigdy nie przestawał się uśmiechać. Był wyraźnie zadowolony, słysząc, że Dunka wyraża chęć dotarcia na południe.

- Dostaniesz dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy. Rozdawaj je wszędzie, gdzie możesz i chwal Pana.

Dunkę zatkało.

- Przepraszam, źle się poczułam, gdzie jest toaleta?

Gdy po kilku minutach, ocierając jeszcze twarz z wody, którą zmywała ślady wyplutej śliny, wróciła do gabinetu, krytyczne spojrzenie Helen przybiło ją do zegara, który natychmiast zaczął nerwowo dzwonić, ogłaszając samo południe.

- Kiedy możesz wyruszyć, siostrze? - Timothy stał przy zegarze jak kurant, z wyciągniętą grdyką.

- Kieeedy... nie wiem... - „nie wiem” miało znaczyć wyłącznie „nie wiem, co odpowiedzieć na taką propozycję”, lecz zostało przyjęte dosłownie.

- A więc... odwagi! „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto nie wchodzi przez drzwi do owczarni, lecz w inny sposób się tam dostaje, ten jest złodziejem i zbójcą” - Timothy wymaszerował z gabinetu, wskazując Dunce drogę.

Przemknęło jej przez myśl, że tylko człowiek szalony ma jakąś szansę i posłusznie podreptała za nim. Skąd mogła wiedzieć, że było to posunięcie o wiele śmielsze, niż przypuszczała, patrząc na dwa kartony miniaturowych wydań Nowego Testamentu. Wszelkie wyjazdy na południe kraju wymagały oficjalnej, rządowej zgody. Biada temu, kto by próbował znaleźć się w rejonie wojny domowej bez wiedzy rządu Bashira, a zostałby złapany. A jednak tak właśnie się to odbywało. Wystuzona Cessna leciała ponad cztery godziny w zasięgu wzroku, mając niezwykle pejzaże Sudanu, największego państwa Afryki, niemal tak dużego jak Kanada. Płowa, ruda i brunatna piaskownica północy z wolna ustępowała miejsca wzgórzom obfitującego w roślinność południa. Koniec kwietnia to w tym kraju przełom pory suchej i deszczowej. Moment przed eksplozją bujnej zieleni. Oprócz Dunki w Cessnie „Czerwonego Krzyża”, jednej z nielicznych organizacji, które w miarę swobodnie poruszały się po tym terytorium, siedziały dwie Szwajcarki z GOAL, które wiozły do Darfuru kontener z lekarstwami. Ledwie go upchały na pokładzie

małego samolotu. Pilot, starszy pan nieodgadnionej narodowości, rasy białej, kręcił z dezaprobatą głową na widok kontenera i miał rację. Ich przystanek na niewielkim płaskowyżu w sąsiedztwie obozu w Zam Zam omalże nie okazał się ostatnim w historii biało-czerwonej Cessny 172 Skyhawk. Pilot z trudem osadził maszynę na pasie wypłowiej ziemi, tuż po tym, jak przez małe okna zobaczyli dym wydostający się z owiewek silnika.

- Nie polecimy dalej – kręcił głową, bezradnie rozkładając ręce.

To mogło znaczyć tylko jedno. Obóz dla uchodźców w północnym Darfurze. Zam Zam. Odkąd zesłała na ląd w Agadir pokonała wiele tysięcy kilometrów, spotkała ludzi czarnych, brązowych i białych, ale czegoś podobnego nie spodziewała się zobaczyć. Obóz przypominał rojowisko owadów bardziej niż miejsce, gdzie mieszkali ludzie. Kobiety w chustach wszystkich wyobraźalnych kolorów, błękitne ceraty namiotów, szafasy, twarze mężczyzn zaglądały w jej twarz z bardzo bliska – wszystko przesunęło się przed oczami Dunki jak koszmarny reportaż telewizyjny z piekła. Brakowało napisu „Porzuć wszelką nadzieję”. Zapachy Afryki, tak zawsze przejmujące, tu przeszywały swą rozkładu i spalenizny. W powietrzu nie czuć było ani chilli, ani tryskających sokiem owoców mango, ani świeżo mielonych ziaren kawy, ani hala – zimnego wiatru, który niesie piasek, ani deszczu, który pobudza do życia nasiona sorgo. Namioty, szafasy, prymitywne budy z kartonów i kawałków blachy były pałacami najstarszych i najbardziej zamożnych mieszkańców ludzkiego mrowiska. Ci, którzy koczowali wprost na ziemi przyjechali niedawno bądź byli już tak schorowani, że nie starczało im sił na nic poza wegetacją. Nieliczni biali, wśród nich Jacqueline i Marie, Szwajcarki, które teraz wraz z Dunką targały kontener, przedzierając się do punktu pomocowego GOAL, wyglądali tu jak przybysze z kosmosu.

Nikt nie kwapił się, żeby im pomóc – ludzie patrzyli biernie i ślepo na ich wysiłek, jakby codzienność tutaj pozbawiała współczucia i troski. Lecz nie była to prawda. Dzieci – najmniejsze i najstarsze ze wszystkich istot, towarzyszyły im, śmiejąc się i pokrzykując, jakby kalectwo, głód, zapisane w pamięci obrazy wojny, rzezi i gwałtów, nie mogły ograbić ich z najprostszej ciekawości życia, tego, co przyniesie następny dzień, co będzie dalej. Patrzyły z nadzieją na kontener, jak na zaczarowany kufer pełen słodkości, zabawek, książek z kolorowymi obrazkami – coś, czego żadne z nich nigdy nie miało. Mały, kilkuletni chłopiec taszczył inne dziecko, już nie niemowlę, ale jeszcze dostatecznie małe, by zmieściło się na plecach jako bagaż. Truchtając i płacząc się pod nogami białych kobiet, wyglądali jak jeden dwugłowy organizm.

GOAL utrzymywał swoją placówkę w niskim baraku z desek. Na widok Jacqueline i Marii wybiegło z niego dwóch czarnych mężczyzn, w tym jeden

w białym fartuchu i ze słuchawkami lekarskimi w kieszonce.

- Nareszcie! – Zawołał na powitanie doktor Hassan Minnawi – myśleliśmy, że nigdy już nie dotrzecie!

- Jak się masz, Hassan! Wyobraź sobie, że tym razem pomógł Czerwony Krzyż. Chyba ktoś ich w końcu postawił do pionu, bo bez gadania dali nam Cessnę. Inna sprawa, że już się zepsuła. Trzeba będzie pomóc pilotowi, bo staruszek siedzi na lotnisku i prawie płacze. Pilnuje maszyny, żeby mu jej nikt nie rozebrał.

Hassan roześmiał się:

- Słusznie! Niech im pomogą ci z Czerwonego Krzyża. Całymi dniami nic nie robisz. A ty nowa? - Spojrzała badawczo na Dunkę, lecz zanim odpowiedziała, ciągnęła dalej - dobrze, że przyjechałaś. Brakuje nam każdej pary rąk. Dziś miałem już dziewięć porodów. Cztery udane. Zrobię z ciebie położną!

Sytuację próbowała wyjaśniać Jacqueline:

- To Polka, leci do Wau, no, a ten samolot...

Hassan nie słuchał już żadnych wyjaśnień:

- Zabieramy skrzynkę i idziemy do szpitala.

Spojrzał wymownie na Dunkę.

Szpital mieścił się w szałasie z gałęzi i tyczek, ale od środka był wyściełany czystym białym brezentem. Było to jedno wielkie pomieszczenie pogrodzone parawanami. Pośrodku na wysięgniku wisiła ambulatoryjna lampa skierowana na długi operacyjny stół. Czarna dziewczyna w zielonym fartuchu i czepku przykrywała go właśnie antyseptyczną fizeliną. Powiedziała coś ważnego do doktora Hassana, bo ten skinął głową i natychmiast podszedł do plastikowej miski. Nalał wody z baniaka i dokładnie wyszorował ręce.

- Zrób to samo – rzucił do Dunki – zaraz będziemy tu mieli Dinka. Trudny przypadek. Wczoraj rano wyszła z siostrą po chrust poza obozowisko i dopadli ją jan jaweed. Gwałcili ją aż do zachodu słońca. Jest w siódmym miesiącu ciąży, ale wyciągniemy jej dziecko z brzucha już dzisiaj. Przynajmniej musimy spróbować.

Dunka patrzyła w osłupieniu na metalową kasetę z narzędziami chirurgicznymi, którą postawiła na stole czarna pielęgniarka.

- Ale ja nie mogę, nie potrafię.

- Potrafisz. - Doktor Hassan podał jej gumowe rękawiczki. - Rób tylko to, o co cię poproszę. Reszta robi się sama. Marta – zwrócił się do pielęgniarki – mamy jakiś czysty fartuch?

Marta pokiwała przecząco głową.

- To daj jej gazę opatrunkową. Niech się owinie.

„Ze jak?” - Dunka nie przypuszczała, że Marta naprawdę to zrobi. Wyciągnęła wielką paczkę gazy i przy pomocy chirurgicznych nożyczek wykonała na Dunce współczesny model mumii, od pasa w górę.

- Wystarczy. Przyrowadź tu tę Dinka.

Wszystko, co działo się w ciągu kolejnych minut przypominało bardziej seans w gabinecie doktora Caligari, niż zabieg cesarskiego cięcia. Wysoka, piękna dziewczyna z plemienia Dinka, cicho zawodząc, dała się położyć na łóżku bez słowa protestu i po chwili zapadła w śpiączkę podłączona do węży kroplówki. Pielęgniarka zapaliła jarzeniową lampę. Dopiero teraz można było zobaczyć wzdęty brzuch młodej kobiety, porany zadrapaniami i opuchnięty ponad miarę, jakby pokąsały go osy. Doktor Hassan złapał Dinkę mocno za nogi, rozciągnął je i przytrzymał, wyraźnie pokazując, jak ma wyglądać ten gest.

- Tak trzymaj, dopóki ci nie powiem.

Nie było czasu na protesty. Dunka złapała dziewczynę w kostkach i z całej siły przycisnęła do stołu.

- Skalpel! - rzucił Hassan pod nosem.

Pielęgniarka błyskawicznie podała mu potrzebne narzędzie. Po chwili uniosła nad sobą miniaturowego człowieka, mocno nim potrząsając. Jaki cud się wydarzył? Jaka moc była w tym miejscu i czasie, że usłyszeli krzyk dziecka? Święty krzyk życia. Doktor Hassam spojrzał na Dunkę.

- Weź go... o, tam, i zawiń – głową wskazał na mniejszy stół, który ciągnął się wzdłuż przeciwległej ściany, a sam pochylił głowę nad otwartym podbrzuszem.

- Szyjemy.

Dunka z drżeniem przyjęła z rąk pielęgniarki małe ciało dziecka, jednak natychmiast poczuła, że jest mocne i trwałe. Że będzie pęczniało i rosło, by pewnego dnia stać się ciałem kogoś silnego, mądrego i pięknego. Kogoś, kto jest godny tego cierpienia, tego szafasu na wyschniętym polu, który nazywają szpitalem, tego zmęczenia przy dziesiątym porodzie lekarza i pierwszym porodzie umęczonej matki. I żebyś był zdrowy, żebyś nie chodził głodny, żebyś dobrze się uczył, żebyś miał wielkie serce... przyjaciół, pieniądze, sławę i piękną żonę, i dzieci, które będą cię kochały, tak jak ja Kocham Ciebie...

## Rozdział XII

Wysoka temperatura, która powaliła Dunkę zaraz potem, okazała się wybawieniem. Zwalczając gorączkę, mdłości, a w końcu i upokarzającą biegunkę, która nie jeden raz wylewała się z niej wprost na łóżko szpitalne, Dunka – bezpiecznie i w przyzwyczajonych warunkach – dotrwała do przesilenia choroby. Leżała za swoim parawanem, wsłuchując się w życie polowego szpitala, w którym przewijały się dziesiątki kobiet, dzieci i mężczyzn. Ciągłe to samo – malaria, aids, stany agonalne dzieci na tle niedożywienia, dyfteryt. Porody. Najczęściej pojawiali się ludzie starzy, których prawie się tu nie spotykało. Zostali wcześniej wybiti lub porzuceni w spalonych wioskach. Health Center obsługiwało na zmianę dwóch lekarzy, oprócz Hassana sympatyczny Niemiec, doktor Adler i trzy pielęgniarki. To Adler wyjaśnił Duncę, że złapała amebę, co było umiarkowanie dobrą wiadomością. Po pierwsze lepsze to niż dur, po drugie – wyklucza ciążę. Po trzecie – odpowiednio leczone daje dobre rokowania. Dodał, nie bez przekąsu, że życie Dunki kosztowało szpital cały zapas wyjątkowo drogiego leku, który doktor Hassan zdecydował się podać wobec zagrożenia życia białej kobiety.

- Będziemy mieć z tego powodu nieprzyjemności, tam w Al Fashir, gdzie jest nasze szefostwo... - dodał Adler i zostawił ją z tym wyrzutem, jakby miała z tym coś zrobić.

Codzienna porcja gotowanego ryżu z łyżką oleju, choć bez soli, była też przywilejem chorych. Wszyscy inni musieli zdobywać pożywienie sami. Najczęściej ludzie cierpieli jednak z braku wody. Studnie w okolicy obozu pilnowane były przez żołnierzy rządowych i grupy dżandżawidów, którzy odganiaли uchodźców od wody, jak wściekłe, chore psy, strzelając nie tylko w powietrze.

Piątego dnia, gdy gorączka na dobre opadła, poczuła się lepiej. Marta, pielęgniarka, wyprała jej sukienkę. Było to wzruszające. Brytyjski paszport, pomięty list i pieniądze – wszystko było na swoim miejscu, w kieszeni. Zapytała o Dinkę i jej dziecko.

- Och, ma się bardzo dobrze. I jej synek też.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Tak, trzeba iść prosto, prosto i skręcić za namiotem policji w prawo.

Dunka bez trudu znalazła miejsce, o którym mówiła Marta, choć kilka dni pobytu w szpitalu, gorączka i biegunka ostro dawały się we znaki. Przed namiotem z gałęzi, pod błękitną ceratą, siedziała dziewczyna z niemowlakiem przy piersi. Wśród suszących się batikowych sukni wyglądała jak rajski ptak. „Dbaj o niego, pamiętaj, że musi być silny i mądry. Każ mu chodzić do szkoły. Może on zmieni ten świat...” – uśmiechnęła się Dunka, mijając Czarną Madonnę.

Barak GOAL stał tam, gdzie go widziała po raz ostatni przed tygodniem.

- Cześć, Dunka! Jak się masz! Podobno doskonale. Hassan nie chce cię dłużej trzymać w szpitalu! To dobrze, bo lada moment samolot ma odlecieć do Wau. Nie mogli go naprawić, ale już chyba jest dobrze. Pilot, biedny, kompletnie się załamał. Siedzi w Czerwonym Krzyżu i prawie płacze... - Jacqueline powitała ją znad stolika turystycznego, od którego nie mogła oderwać wzroku. - Popatrz, cośmy dostali... telefon satelitarny! Mamy internet!

Dunka przycupnęła na plastikowym krzeselku. Ten pierwszy spacer, upał, obojętność dorosłych, pokrzykiwania dzieci nie przynębiły jej tym razem. Czuła, że rozumie każde spojrzenie, każdy grymas twarzy, że wie, czego chcą dzieci, które płaczą się pod nogami, czemu tamta kobieta idzie z plastikowym kontenerem na głowie, a ten mężczyzna siedzi na ziemi, łatając adidasy sąsiadów. Musiała znaleźć jeszcze swoje własne miejsce w tym wszystkim... Jakoś zaczepić się w tym świecie. Nie tylko mentalnie, ale naprawdę żyć. Tak daleko dotarła. Po co? Kto tego chciał?

- Nie zapomnij o kartonie. Stoi, o tam – Jacqueline pokazała palcem na miejsce w rogu baraku, gdzie dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy Nowego Testamentu spokojnie czekało na swoją kolej.

Dunka podeszła do pudła i wyciągnęła jedną z książeczek. Były oprawione w granatową, grubą ceratę ze złotymi napisami New Testament:

For this reason I bow my knees before the Father, from whom every family in heaven and on earth is named, that according to the riches of his glory he may grant you to be strengthened with might through his Spirit in the inner man, and that Christ may dwell in your hearts through faith; that you, being rooted and grounded in love, may have power to comprehend with all the saints what is the breadth and length and height and depth... - przeczytała, co napisał święty Paweł dwa tysiące lat temu („...dlatego zginam kolana moje przed Ojcem, od którego wszelkie ojcostwo na niebie i na ziemi bierze swoje imię, by sprawić według bogactwa chwały swojej, żebyście byli przez Ducha jego mocą utwierdzeni w wewnętrznym człowieku, żeby Chrystus przez wiarę zamieszkał w sercach waszych, a wy, wkorzeni i ugruntowani w miłości, zdołali pojąć ze wszystkimi świętymi, jaka jest szerokość i długość, i wysokość i głębokość...”).

- Jacqueline...! - ta ledwie podniosła wzrok znad Facebook'a. - Czy ludzie w Zam Zam są wierzący?

- Tu jest dwadzieścia tysięcy ludzi! Sami protestanci, katolicy i muzulmanie... Wiesz, kogo nie ma? Ateistów! Oni nie potrafią w nic nie wierzyć! To im się nie mieści w głowie!

- Ilu tu mieszka ludzi?

- W Zum Zum? Liczymy, że dwadzieścia tysięcy. Codziennie rejestrujemy nowych. Teraz też Marie pojechała spisać transport. Przyjechały trzy

ciężarówki.

- Wiesz, co jest w tym kartonie?

- Nie mam pojęcia.

- Książki.

Jacqueline spojrzała nieufnie na Dunkę.

- Ale przecież oni nie umieją czytać!

- Ale ich dzieci pewnie się nauczą. To prezent. Pewien baptysta prosił mnie, żebym to przewiozła na południe Sudanu. Nie ma sensu wozić się dalej z tym kartonem.

- A co tam jest konkretnie?

- Nowy Testament.

- Żartujesz?! Mamy placówki w dziesięciu krajach, tysiąc czterystu wolontariuszy! Zebraliśmy do tej pory pięćset milionów euro! Nie wolno nam tego tu trzymać. Jesteśmy organizacją bezwyznaniową. Zachowujemy neutralność!

- Ok, ok, rozumiem...

Jacqueline zerwała się znad komputera, niemal wywracając krzesło, i wybiegła z baraku. Dunka stała przez chwilę, czując, że atmosfera zdecydowanie siada, a jednak nie dotknęło jej to bardzo głęboko. Wręcz przeciwnie, uznała, że skoro jest wolny internet, byłoby błędem nie skorzystać.

W skrzynce mailowej głównie spamy i kilka listów od znajomych i siostry. Przeleciała je szybko oczyma, w Polsce spokój i słowiański porządek. Spodziewała się czegoś od Standisha. Niestety, nie napisał. Jeszcze kingafreespirit.pl. Dwudziestego pierwszego maja Kinga na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Zdobyła jakieś pieniądze na wykupienie młodej dziewczynki z miejsca, gdzie dzieci pracują jak niewolnicy. Ma zamiar z nią jechać do Ghany. Pewnie teraz są w drodze... „Kinga! Ty jesteś wielki człowiek!”.

- Miiissss – cichutki głos chłopca przerwał Dunce medytację nad blogiem Kingi.

Rozejrzała się. Chłopak musiał być tu od dłuższego czasu. Teraz stał, trzymając w ręku granatową ceratkę ze złotymi literami.

- Czy ja mógłbym mieć taką książkę?

- Jest twoja.

Wyraźnie się ucieszył. Aż oczy mu zajaśniały z radości. A już wcześniej miał bardzo jasne białka, więc teraz wyglądał jak podświetlony abażur.

- Pokażę ją w szkole. Bardzo będą mi zazdrościć.

- A gdybyś miał więcej takich książek, to co byś zrobił?

Chłopak na chwilę zamilkł.

- Sprzedałbym je. I kupiłbym dużo ryżu. I sól. I pierścionek dla mojej matki.

- Wiesz, co? To doskonały pomysł! Ale na pewno byś ich nie wyrzucił? Nie spalił?

- Miss! Mielibyśmy co jeść bardzo długo, bardzo długo. Mielibyśmy dużo ugali.

- Więc weź cały karton tych książek... tylko nie zmarnuj!

Ostatnich słów już nie słyszał. Tak bardzo bał się, by Miss nie zmieniła zdania, że zapomniał o pożegnaniu.

- Kategorycznie domagam się, żeby książki te zostały usunięte z terenu naszej placówki – Marie wparowała z furią, kierując się wprost do miejsca, gdzie przed chwilą stał jeszcze karton.

Dunka odpowiedziała uśmiechem osoby całkowicie niewinnej.

- Już ich tu nie ma, Marie. Jesteście całkowicie neutralni. Nie martw się o GOAL. Ja też chcę zniknąć jak najszybciej. Nie wiesz, co z tym samolotem?

Marie nieco uspokojona patrzyła jednak podejrzliwie na stolik.

- Jacqueline znowu nie wyłączyła laptopa... - mruknęła pod nosem i zatrzasnęła wieko komputera. - Lecicie jeszcze dzisiaj. Musisz iść do namiotu Czerwonego Krzyża. Tam dowiesz się więcej.

- Ok. No to... dzięki za wsparcie.

- Trzymaj się. Mam nadzieję, że ten samolot doleci do Wau... - uśmiech Marie był trochę jak ser z dziurami, miał miejsca pełne i miejsca puste.

W ogromnym namiocie Czerwonego Krzyża pełno było ludzi, komputerów i paczek, które piętrzyły się wielkimi górami. Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, kto byłby dobrym informatorem, gdy zobaczyła pilota Cessny. Zmierzniał.

- Podobno lecimy dzisiaj? Udało się naprawić samolot?

- Nic nie wiem o tym, żebym miał ciebie zabrać. Mam już trzy osoby na pokładzie i nie zamierzam doprowadzać do przeciążenia.

- Pan żartuje? Przecież ja nie mogę tu zostać!

- Rozmawiaj z szefową. O, tam!

Szefowa Czerwonego Krzyża była silną kobietą z długim końskim ogonem siwych włosów i zmęczonymi oczami. Wyglądała jak słynna Jane Goodall, ta od szympansów.

- Muszę lecieć. Przywieźliście mnie tutaj, więc musicie mnie stąd zabrać.

Kobieta rozłożyła bezradnie ręce.

- Nie da rady. Pilot zgodził się zabrać tylko trzy osoby, a moi ludzie muszą lecieć.

- Ale ja nie mogę w to uwierzyć.

- Ale to prawda.

- Ale to mój obowiązek, żeby się tam przedostać.

- Ale to nasz samolot.

Jeśliby w tym przybytku były drzwi, Dunka z pewnością trzasnęłaby nimi przy wyjściu tak mocno, jak się da. Jednak tym razem musiała się zadowolić ostentacyjnym wyjęciem dwulitrowej butelki wody mineralnej Evian z prywatnej skrzynki pracowników Red Cross Zan Zan. Była tam nawet taka nalepka. „Private”.

Wyszła na zewnątrz, zastanawiając się, czy w ogóle z tego miejsca da się wydostać, gdy stanął przed nią chłopiec, któremu podarowała karton z książkami.

- No, co? Udało ci się sprzedać te książki? Tak szybko?

- Ciii... - chłopiec położył palec na ustach i zza koszuli wyciągnął róg niebieskiej okładki.

- Muszą najpierw zobaczyć ją u mnie. Za jakieś dwa, trzy dni zacznę sprzedawać wszystkie. Jedna po drugiej.

Dopiero teraz zrozumiała jego plan. Zamierzał sprzedawać wciąż tę samą książkę i doprowadzić do cudownego rozmnożenia Nowego Testamentu.

- A ile będziesz brał?

- Co dadzą – chrust, węgiel drzewny, ryż. Owoców to tu raczej nie ma, ale jest cukier, mniem, mniem – pogłaskał się po brzuchu.

Podobał się jej coraz bardziej. Był szalenie rezolutny i otwarty. Mógł mieć najwyżej dwanaście lat.

- Chcesz wodę?

- W takiej butelce?! Czy to jest lekarstwo?

- Nie, to zwykła woda. Możesz ją wypić.

- Zaniosę mamie.

- A wiesz, jak się stąd wydostać?

- Gdzie chcesz iść, Miss, do studni, na północ obozu?

- Nie, chcę stąd wylecieć na południe, samolotem – rozłożyła ręce, pokazując jak leci ponad chmurami.

- O, tak, wiem. Samoloty tu rzadko latają. Jeden jest zepsuty od tygodnia, ale chyba już go naprawili. A drugi dzisiaj przyleciał.

- Naprawdę? A jak dojechać na lotnisko?

- Chodź – chłopiec skinął na Dunkę i marszem ruszył przed siebie, jak ktoś bardzo ważny.

Szli może z piętnaście minut. Tydzień wcześniej, pokonując tę drogę w przeciwnym kierunku, nie mogła nic zapamiętać. Teraz widok obozowiska nie robił już na niej wrażenia. Ludzie wydawali się o wiele mniej zrozpaczeni, a zapach węgla drzewnego i opary gotowanej mąki całkiem znośne.

Na lotnisku rzeczywiście stały dwa samoloty. Pilot tego drugiego kręcił się przy maszynie, zaglądając pod maskę.

- Sir... - chłopiec zagadnął go bez wahania jak dowódca całej wycieczki. Podniósł głowę i spojrzał z ciekawością na chłopaka. W pierwszej chwili nawet nie zauważył Dunki.

- Ta Miss chce lecieć na południe.

Mężczyzna roześmiał się i dopiero teraz spojrzał na Dunkę.

- Chce Pani lecieć na południe? A gdzie?

- Do Wau.

Odwrócił się z powrotem do maszyny.

- To kawał drogi. Poza tym tam się nie lata.

- Na pewno się tam lata. Dziś jeszcze leci tam Czerwony Krzyż.

- To dlaczego nie zabierze się Pani z nimi?

- Właśnie tego nie potrafią mi wyjaśnić. Mówią, że nie ma miejsca w tej Cessnie.

- Czy Pani wie, ile trzeba paliwa? To cholernie droga impreza.

- Ile by to kosztowało?

- Nie zamierzam w ogóle tam lecieć, ale najmniej pięćset euro.

Nie śmiała mu powiedzieć, że ma około piętnastu dolarów w sudańskich dinarach...

- Poza tym tam trzeba mieć pozwolenie, zgodę z Chartumu.

- Ja mam... - sięgnęła do kieszeni po list. Wcześniej o tym nie myślała, ale nagle ten właśnie papier nabierał coraz większej wartości. Już raz wyciągnął ją z kłopotów.

- Co to za papier?

- List. Niech pan sam popatrzy – podała mężczyźnie papier. – Zna pan arabski?

Nie brała pod uwagę, żeby umiał czytać coś więcej niż mapę nieba. On jednak wbił spojrzenie w kartkę, którą mu pokazała, po czym zdjął czapkę i stał pot z czoła.

- Skąd masz t a k i papier? - W tym zawołaniu było trochę przesady, ale list zrobił na nim ogromne wrażenie.

Chłopiec wspiął się na palce, żeby też tam zajrzeć, jakby znał doskonale arabskie pismo.

- Nigdy wcześniej nie widziałem dokumentu podpisanego przez Bashira...!

- Przez kogo? - Dunka od razu poczuła, że to pytanie było błędem. Więc postarała się go szybko naprawić. - Dam ci ten list, jak polecisz ze mną do Wau!

- Do Wau?! To kawał drogi. Nie wiem, czy starczy mi paliwa...

- Starczy. - Chłopiec rezolutnie pokiwał głową.

Pilot podrapał się w głowę na znak przełamania w negocjacjach i spojrzał w zegarek.

- Pokaż ten papier jeszcze raz... To w ogóle jest oryginał?

- Oczywiście, że oryginał.

- A skąd go masz?

- Od brytyjskiego... agen... konsula – szybko się poprawiła, sięgając do kieszeni po paszport. - Popatrz, wszystko jak trzeba. Mam wizę na sześć miesięcy.

Pilot patrzył na papier jeszcze przez długą chwilę, po czym machnął ręką.

- Niech będzie. Ale lecimy od razu. Mamy trzy godziny do zmroku. I papier zatrzymuję.

Dunka spojrzała na chłopca, który stał teraz ze spuszczoną głową. Sięgnęła do kieszeni. Plik banknotów i wszystkie drobne wsadziła mu do ręki i poczochnęła go po głowie. Spojrzał na nią jak szalony, nie mogąc zrozumieć sensu tego zdarzenia. Nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy.

- Jak ci na imię?

- Adam.

- Adam, życzę ci, żebyś sprzedał wszystkie książki. Pamiętaj! Ani jedna ma się nie zmarnować!

- Kocham cię. Zawsze będę o tobie pamiętał.

- Ja też cię kocham. Będę o tobie myślała...

Lecieli półtorej godziny, a gdy maszyna usiadła w końcu na lotnisku w Wau, Dunka poczuła pewność, że jest we właściwym miejscu, we właściwym czasie. Pilot zmył się natychmiast, zatraskując drzwi kabiny. Nie było tu nic więcej do zrobienia. Noc zbliżała się w afrykańskim tempie – wcześniej i gwałtownie.

Dunka przeszła kilkaset metrów do szosy, która prowadziła z lotniska do miasta. Przyzwyczała się już do tego, że tutejsze drogi bywają różne – ta akurat, pokryta rudym żwirem, wydawała się całkiem dobra. Zmierzch zamazywał obrysy budynków, a włączał światła aut. Jedno z nich, które zbliżało się teraz od strony lotniska, miało kilka reflektorów, jak buda lunaparku. Zamachała bez szczególnej nadziei na powodzenie tej próby, lecz auto zatrzymało się niemal natychmiast. Patrzyło na nią pięć par oczu sudańskich gwardzistów z armii rządowej. Widocznie wygląd Dunki budził zaufanie lub może żołnierze byli już zmęczeni, bo bez pytania o paszport, czy zgodę na pobyt w mieście, skinęli, żeby zajęła miejsce w furgonetce. Furgonetka była opancerzona.

- Gdzie chcesz się dostać, Miss? - spytali.

Była już specjalistką od trudnych pytań.

- Teres Detur, Nazaret - odpowiedziała.

Ku jej zaskoczeniu, kierowca skinął głową i ruszyli w kierunku miasta.

To, co słyszeli po drodze mogło być dźwiękiem strzelaniny, lecz żaden z żołnierzy nawet nie zastrzygł uchem. Jechali w milczeniu kilkanaście minut, aż dosięgły ich światła naftowych latarni. Co kilkaset metrów paliły się wysokie ogniska w czymś podobnym do polskich trociniųaków. Przy każdym kręcili się żołnierze w identycznych mundurach jak te, które mieli na sobie ludzie z furgonetki. Dzielnica, w której znaleźli się końcu, sprawiała wrażenie całkowicie wyludnionej. Domy – widma, jak straszne zamczyska, wyrastały z ciemności bez najmniejszych śladów życia.

W końcu podjechali pod budynek z cegły, z którego sączyło się światło bielsze i jaśniejsze od światła naftowych latarni. Umiała je już rozpoznać. To światło elektryczne z agregatu. Taki sam był w Fort Portal u Sauliusa. Wysiadła tam, gdzie się zatrzymali żołnierze i, z obawy, by nie nabrali podejrzeń, szybko podeszła do drzwi budynku. Musiała zapukać kilkanaście razy, zanim usłyszała odgłos kroków. Na szczęście furgonetka zniknęła już bez śladu.

Nie myślała o tym, kto może otworzyć drzwi i co się wtedy stanie. Afryka nauczyła ją, że każdy gość, który przekracza próg twojego domu, musi być

przyjęty, nakarmiony i przenocowany. To proste. Odwieczne prawo było tu traktowane jak świętość.

W drzwiach stanęła typowa angielska lady, od czterdziestu lat w Afryce, od piętnastu w Sudanie.

- Czy mogę wiedzieć, co sprowadza... panią o tej porze do Health Institute?

- Tymczasem nie mam gdzie się zatrzymać, przyleciałam dopiero z Zam Zam, a jest już późno. Szukam osoby, który nazywa się... Teres Detur...

Kobieta spojrzała na Dunkę uważnie.

- Nazywam się Dunka.

W tamtą jakby piorun strzelił. Straciła całą wyniosłość, choć zyskała coś szalenie sympatycznego. Poczęstowała Dunkę szerokim uśmiechem.

- Dunka... - powtórzyła jeszcze w zamyśleniu, bacznie się jej przyglądając.

- Proszę się nie obawiać... jestem zwykłą osobą, nie sprawię pani kłopotu...

- W Sudanie nie ma zwykłych osób – ton miała już po swojemu kategoriyczny – Porozmawiamy jutro. Proszę.

Dopiero teraz odstąpiła ten jeden krok potrzebny, by przepuścić gościa.

Noc była niespokojna. Dunka mogłaby się założyć, że nie dalej niż dwieście metrów od Health Institute trwała wymiana ognia. Początkowo miała nadzieję, że to odgłosy tylko podobne do strzelaniny, lecz powtarzające się serie i krótkie wystrzały nie pozostawiały złudzeń. Gdzieś tu, obok, toczyła się normalna wojna. Po drugiej stronie rzeki, która przecinała dzielnicę Nazareth, żołnierze powstańczej armii SPDA (Sudan People Liberation Army) nękali tej nocy „reżimowych” w zemście za spustoszenie, jakiego w mieście dokonywały bandy dżandżawidów, sponsorowane przez Chartum. Nikt nigdy nie dojdzie, kto i dlaczego strzelał w tej wojnie pierwszy.

Nie czekając, aż dzień na dobre wstanie, usłyszawszy pierwsze odgłosy za drzwiami pokoju, w którym leżała na karimacie osłoniętej moskitierami, wystawiła głowę na korytarz. Nikogo tam nie było, ale budynek wyraźnie budził się do życia. Szereg drzwi wskazywał, że mógł to być szpital lub jakiś dom opiekuńczy.

Znalazła kobietę, która przywitała ją poprzedniego wieczoru w dużym gabinecie, czymś w rodzaju salonu. Były tam meble typowo europejskie, ale też rzeźbione figurki, różne rodzaje afrykańskiej broni, skóry, ratanowe fotele. Zaskoczył ją ten widok, nieco filmowy. Nigdy dotąd w swej podróży przez Afrykę nie widziała takiego miejsca. Zwykle miała do czynienia z barakami lub surowym klimatem, jaki wytwarzali wokół siebie ludzie skromni. Tu panował pewien przepych, a może raczej uderzało bogactwo afrykańskiej

kolekcji w kontraście do tego, co przed chwilą widziała na korytarzu.

Kobieta w milczeniu wskazała ręką sąsiedni fotel. Była już niemłoda, wręcz stara, lecz typowo brytyjska elegancja w stylu safari dodawała jej uroku. Zapaliła papierosa.

- Więc, co sprowadza cię do Health Center?

- Szukam krewnych pewnej dziewczyny.

Kobieta kiwnęła głową, zaciągając się z przyjemnością papierosem.

- No, i...

- Ta dziewczyna chciała się przedostać się do Europy.

Każde zdanie wypowiedziane przez Dunkę było przyjmowane potakiwaniem.

- Hiszpanie odwieźli ją z powrotem do Maroka, a w marokańskim więzieniu mało kto przeżyje...

- Kiedy to było? - tak zwane pytanie podchwytliwe.

- Pół roku temu...

- A więc, jak pani myśli, Dunka, co się z nią t e r a z dzieje...?

Dunka zwiesiła głowę i spojrzała w swoje drobne stopy w zbyt dużych i mocno schodzonych butach trekkingowych.

- No, właśnie, nie wiem, czy ta dziewczyna żyje. Chciałam dowiedzieć do Agadir jej krewnych, niepotrzebne były nawet pieniądze, konsul załatwił zwolnienie z kaucji... Jednak wszystko się tak potwornie skomplikowało...

- I jest pani pewna, że to była dziewczyna z Wau?

- Tak, powiedziała „Wau, Nazaret”. To chyba tu?

Kobieta skinęła głową.

- A jak ona się nazywała?

- Serafina Nialod.

- A ty się nazywasz Dunka... - zawiesiła głos.

- Tak, jestem z Polski, ale tak się złożyło, że... że mam cudzy paszport.

- Hiszpański? - Kobieta wykazywała dziwną przenikliwość.

- Nie, brytyjski...

- Brytyjski? - tamta podniosła brwi wysoko. - A jak się to stało?

Dopiero w tej chwili Dunka zrozumiała, że kobieta, która siedzi obok, paląc trzeciego papierosa, wie więcej, niż się wydaje.

- To była długa podróż...

- Tak, wiem... - kobieta gwałtownie wstała z fotela. - Ja jestem Theresa Detour - powiedziała to tonem królowej, która obnaża sekret dynastii. Miała o sobie samej bardzo dobrą opinię, lecz trzeba przyznać, że zasłużyła na nią sto razy. Była wyjątkową kobietą – ofiarną, pracowitą, skuteczną i odpowiedzialną. Uratowała życie setek młodych kobiet.

Stały naprzeciw siebie, a Dunka nie mogła wydusić słowa. W końcu ją odetkało:

- Więc znała pani Serafinę?

Theresa chwyciła drobną Dunkę w stalowe ramiona i przytuliła tak mocno, że aż zatrzeszczało... Też dławiała słowa...

- Ona żyje, żyje! - wykrzyknęła w końcu.

- Serafina?!

- Tak, tak, Standish ją wydostał!

- Standish?!

- Tak, tak!

- I jest w Kłajpedzie!

- Standish??

- Nie, Serafina! Tam uczy się i pracuje.

- W Kłajpedzie? W Estonii?

- Estończycy przyjęli kilkanaście osób...!

- Nie mogę w to uwierzyć! Skąd pani to wszystko wie?

- Jak to – skąd?! Od Standisha! On to wszystko załatwił!

- Pani go zna?

- Czy znam? Widuję go codziennie...

Dunka straciła orientację. Być może nie rozumiała, co się tu dzieje.

- Chce pani powiedzieć, że Standish jest tutaj?

- Tak. Kieruje biurem Medecins Sans Frontiers. Specjalnie przyjechał, żeby...

- Żeby...?

- Liczył na cud. Liczył, że cię tu spotka...

- Chce pani powiedzieć, że...?

- Tak, tak.

Theresa Detour nie kiwała głową po prostu, zwyczajnie, lecz potakiwała jak nakręcana kurka, która dziobie ziarno. Tak, tak, tak przytakiwała, ukrywając tży, które nachodziły jej do oczu ze wzruszenia. Uratowała życie setkom młodych kobiet, słyszała wiele historii, ale coś takiego zdarzyło się w jej życiu po raz pierwszy!

- I mogę go zobaczyć?

Tak, tak tak.

- I zobaczę go?

Tak, tak, tak.

- I już się nie gniewa za Agadir?

Tak, tak, tak. To znaczy – nie, nie nie...

- I to nie jest sen? I jest pani pewna?

Nie, nie, nie. To znaczy – tak, tak, tak.

Theresa Detour wybiegła z pokoju. Dunka opadła w objęcia fotela. Strasznie skrzypiało i śmierdziało starym grzybem, ale było jej w nim wygodnie i przytulnie. Oto koniec podróży. I początek czegoś nowego. Bo przecież nic nie jest

takie, jak przedtem. Najważniejsze to nie zapomnieć. Wiele się nauczyła. Czego? Że ważni są inni. Że jest miara rzeczy – wysokość, głębokość, długość, trzeba ją odkryć, trzeba jej szukać. Każdy stan ducha, każda relacja ze światem ma swoją proporcję. Że trzeba wierzyć i ufać. Imion Boga jest wiele, lecz Bóg tylko jeden. Ten, który kocha i uczy miłości. „Nie bój się żyć dobrze. Zgodnie z proporcją i sumieniem, które jest lustrem odwiecznego prawa. Jak powiedziała Kinga? Nigdy nie wiesz, co przyjdzie pierwsze... kolejny dzień czy następne życie...”.

Dzień budził się we mgle i z niskim ciśnieniem. Było bardzo prawdopodobne, że w końcu zacznie padać. Pora deszczowa kazała na siebie czekać w tym roku dłużej niż zwykle. Wraz z deszczem miały nadejść dni zielone i bujne, kosze pełne owoców, kolby kukurydzy, ziarna ryżu, czas obfitości.

## Epilog

W drodze do Ghany, gdzie jechała z matką ghańską dziewczynką, której nadała imię Malaika, co po polsku znaczy Anioł, Kinga Choszcz, polska podróżniczka, wspaniała dziewczyna i wielki człowiek, dostała ataku malarii mózgowej.

Dziewiątego czerwca zmarła, a jej przyjaciel i partner wielu wcześniejszych podróży, Chopin, który zdążył dotrzeć do Ghany, żeby ją przytulić i pocałować przed tą ostatnią podróżą, spalił jej ciało, a prochy przywiózł do Polski, choć ich część rozsypał nad Atlantykiem, by Kinga, która wróciła do domu, mogła cieszyć się też wolnością bezkresnego oceanu, która tak ją zachwycała.

Chopin odmawiał mantrę Wielkiego Współczującego, wyrażającą miłość i współczucie wszystkich Buddów, rodzice i przyjaciele w Polsce modlili się, niektórzy do Serca Jezusa, niektórzy w inny sposób.

Dziewczyna, Malaika, odwieziona przez Dunkę do rodzinnej wsi, poszła do szkoły. Mama Kingi założyła Fundację i buduje w Afryce jeszcze więcej szkół dla afrykańskich dzieci.

Ta historia nigdy się nie kończy...

Jeśli chcesz wiedzieć więcej, wejdź na [www.kingafreespirit.pl](http://www.kingafreespirit.pl).